

# KRONIKA

№ 9.

Warszawa, dnia 19 Kwietnia (1 Maja) 1873 r.

Serya II.

### Warunki prenumeraty.

W Warszawie: w Biórze Redakcyi, z odnośnieniem do domu, rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1.  
Prenumerować także można po tej samej cenie we wszystkich Księgarniach i Kantorach pism peryodycznych.  
W Cesarstwie i Królestwie: rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kop. 50. Pieniądze nadsyłać należy wprost do Redakcyi.

Kronika Rodzinna wychodzi d. 1 i 15 każdego miesiąca.  
Cena pojedynczego Numeru kop. 20.

Biuro Redakcyi  
przy ulicy Marszałkowskiej, Nr. 75.

W Cesarstwie Austriackim—w Lwowie w Księgarni Gubrynowicza i Schmidta po cenie: Kwartalnie na miejscu fl. 1 cen. 80. Kwartalnie z przesyłką pocztową fl. 2 cen. 15.  
W Krakowie w Księgarni Friedleina: Kwartalnie w miejscu fl. 1 cen. 65. Kwartalnie z przesyłką pocztową fl. 2.  
W W. księstwie Poznańskim—w Poznaniu w Księgarni Daskiewiczza po cenie: Kwartalnie w miejscu tal. 1. Kwartalnie z przesyłką pocztową tal. 1 gr. 6.

TREŚĆ. Kierunki. I. przez S. W.—Wyjątki z listów Zygmunta Krasieńskiego. —Pociecha rodziny. (Obrazek obyczajowy), przez Felicjana. —Korrespondencye: z Petersburga. II. —z Rzymu. —Kronika ruchu naukowego. II. —W Przytyku notatka bibliograficzna. —Wiadomości literackie. —Midlemarch, powieść George Eliot.

## KIERUNKI.

### I.

Zapewne zdarzało się wam słyszeć, czytelnicy, a może i wielu z was tegoż jest przekonania, że w obecnym czasie zaczynamy otrząsać się z umysłowego letargu i dzwigać się z zaniedbania, że nie powiem z umysłowego i moralnego upadku. Ruch ten istnieje bez zaprzeczenia i objawia się w rozmaitych kierunkach: jedni prostują po swojemu oddawna przyjęte poglądy na historię i ducha przeszłości; drudzy usiłują krzawić ekonomiczne i przemysłowe wiadomości, mające na celu dobrobyt materialny; inni uprawiają tę lub ową specjalną gałąź wiedzy, obojętni na resztę; tu i owdzie podnoszą czoło negacya, materialistyczne teoryjki, wycieczki przeciwko ustalonym wiekami religijnym i moralnym pojęciom.

Prasa peryodyczna, w której dziś skupiło się całe niemal życie umysłowe, niewątpliwie przyczyniła się i przyczynia do uwydatnienia, podsylenia lub przytłumienia w społeczności pewnych objawów i kierunków—jest więc po części ważnym działaczem i regulatorem; ale z drugiej strony, prasa jest zarazem organem społeczeństwa, do którego należą sami pracownicy pióra, związani wychowaniem, przeszłością i tysiącami materialnymi i duchowymi węzłami z tem wszystkim, z czego wyszli i co ich otacza. Rozrost pracy peryodycznej bezwątpienia świadczy o wzroście zamięłowania w czytaniu — jest więc skutkiem tego wzrostu; ale i prasa podsyca zamięłowanie w czytaniu — jest więc poniekąd jego przyczyną. Jak w wielu ludzkich sprawach, tak i tutaj, niemożliwym jest odgraniczenie ściśle przyczyny od skutku tak dookładne, jak w abstrakcyjnych formułkach filozofów. Tak samo rzecz ma się i z ożywieniem umysłowego ruchu: ludzie powoli zaczynają krzacić się, ażeby podźwignąć się z zastoju — między innymi i dla tego, że więcej niż dawniej czytają i to im na niejedno oczy otwiera; ale znowu dla tego mają więcej do czytania, że społeczność zaczyna budzić się z odrętwienia. Obszar objawów ducha ludzkiego tak jest niezmierny, urzeczywistnienie tych objawów w czynach tak jest rozmaite, puszczona wieków tak bogata, dążenie do udoskonalenia się i polepszenia bytu tak potężne, choć rozmaicie pojmowane — że bynajmniej nie można się dziwić

ani podziałowi pracy w tej sifyzowej robocie ludzkości, ani wynikającej z tego podziału tu i owdzie jednostronności, ani nawet namiętnym uniesieniom zwolenników pewnych teoryj i ich nieliłościwej szermierce z przeciwnikami. Psychologicznie uzasadnionym jest fakt, że to, w czem znajdujemy upodobanie, skłonni jesteśmy uważać za najlepsze: nasze ulubione zajęcia, nasz, choćby krańcowy, kierunek przekonania, radzibyśmy narzucić i innym, zwłaszcza, jeżeli nie brak dowodów praktycznej użyteczności naszego kierunku; — a czy jest cokolwiek, z czegooby praktycznych korzyści nie można wyciągnąć?—alboż nie brak poparcia ze strony naszych poprzedników i współczesnych obrońców naszej teoryi—a jestże co, czegooby dziś ludzie, choć jednostronnie i w dobrowolnym zaślepieniu, mniej lub więcej przewrotnie i z naciąganiem nie dowiedli, nie dowodzili lub przynajmniej dowieść nie próbowali?

Myśl ludzka zawsze idzie w parze z uczuciem zadowolenia lub przykrości, z których rozwija się dalej uznanie pożytku lub szkodliwości. Bezbarwna myśl abstrakcyjna istnieć i ostać się nie może: nawet w filozofii lub matematyce, gdzie jej objawy pozornie są najwybitniejsze, myśl działa z dążeniem do pożytku, którym jest tu wynalezienie prawdy. Prawda daje zadowolenie i dla tego dążność do prawdy bezwzględnej jest wrodzonym duszy pragnieniem ideału prawdy, a powyższy przykład matematyki wykazuje, że prawda, w znaczeniu psychicznym, jest także i pożytkiem: ideał prawdy zlewa się z ideałem dobra. Nie zawsze tak jednak bywa w życiu praktycznym: rozmaite społeczne, obyczajowe i ekonomiczne jednostronne teorye nie zawsze mogą utrzymać równowagę prawdy i dobra. Bezwątpienia cząstka jednego i drugiego tkwi zawsze w każdej, choćby najprzewrotniejszej teoryi, przynajmniej w dążeniu: każdy mniema się w posiadaniu prawdy, lub przynajmniej sądzi, że idzie najpewniejszą do jej wynalezienia drogą; każdy sądzi, że przyjęcie jego poglądów przez inne indywidua, przez społeczeństwo lub całą ludzkość, wyjdzie na dobre.

Każdy, kto głos zabiera publicznie, pragnie oświecać ludzi i przyłożyć się do tego, ażeby im było lepiej—i z tego punktu widzenia, każdy, co w dobrej wierze i uczciwie dąży do prawdy i dobra, może przynieść pożytek ludzkości, choćby nawet jego poglądy były błędne i jednostronne, gdyż i jednostronność i błędy są

rzeczą w ludzkich sprawach i w ludzkich rozumowaniach konieczną — nie masz światła bez cieni, nie może być tryumfu prawdy tam, gdzie nie ma błędów do zwalczania. Ścieranie się kierunków i opinii wykrzesuje powoli iskierki czystej prawdy i czystego dobra, które mozołnie ludzkość zbiera w swem wiekowym dążeniu do ideałów. Potęga tych ideałów prawdy i dobra jest tak wielką, że nawet przeciwnicy hołdują im mimowoli: nawet ci, którzy nie uznają nic oprócz pierwiastków materialnych, którzy nie wierzą w istnienie duszy, a ideę dobra ścieśniają do zasady materialnej użyteczności. Tacy nawet są sługami ideałów prawdy i dobra, już tem samem, że poszukują prawdy i dobra, przez co zostają w sprzeczności ze sobą, gdyż ani prawda, ani dobro nie są związkami chemicznymi ani materialnymi atomami; dążność ku nim nie może być gdzieindziej jak w duszy, której oni nie uznają, a historia dotychczasowego rozwoju ludzkości i niemożność przypuszczenia zupełnej doskonałości na ziemi, wraz z faktem istnienia tych ideałów w duszy, gdzie je ktoś musiał zaszcześcić, przekonują jasno, że ideały prawdy i dobra „nie są z tego świata.“ Wszelako panujące dziś materialistyczne i pseudo-pozytywne doktryny powyższych pewników nie widzą, bo widzieć nie chcą. Jakżeż dowodzą one prawdy i dobra swych zasad? Droga dowiedzenia prawdy jedna jest tylko—przekonanie rozumowe, bez względu na to czy fakta, których dowieść chcemy, opierają się na zmysłowych doświadczeniach, czy też należą do sfery metafizycznej. Prawdę pewnego faktu czy twierdzenia uznaje jedynie i wyłącznie rozum ludzki: w samym fakcie nie jest dana, ani prawda, ani fałsz—dopiero rozum dochodzi do przekonania o prawdziwie, a do rozumu trzeba przemawiać odpowiedniami to jest rozumowymi dowodami, logiczną argumentacją, opartą na zasadniczych wrodzonych duchowi prawach myślenia; taką tylko drogą można doprowadzić rozum do poznania i uznania prawdy. Używane często wyrażenie „dowodź faktami“ w gruncie rzeczy, z logicznego punktu zapatrywania się, jest najzupełniej fałszywym: można dowodzić tylko faktów, to jest drogą rozumowania przekonywać o ich prawdziwości. Nie rozumieją tego krańcowi naturaliści i dla tego nadużywają analogii: mimowoli znowu czują oni potrzebę rozumowania, lecz rozumowanie ich okaleczone, ułamkowe i niedostateczne. Powie tu



nam kto może, że przecież tego, o czym zmysły świadczą, dowodzić nie potrzeba, jak np. tego, że zwierzęta gryzą zębami lub że wszystkie liście są zielone. Na to odpowiemy, że naprzód świadectwo zmysłów nie zawsze jest pewnem (przykład widomego ruchu słońca), a następnie i takie nawet twierdzenia jak „liście są zielone“ i t. d. — nie wchodźmy w to, z kąd zaczerpnęte — rozum nasz przyjmuje i przyswaja sobie tylko wtedy, gdy te twierdzenia są w zgodzie z jego logicznymi prawami i normami, gdy nie napotyka przeszkód w samych pojęciach o liściu i zieloności. Gdyby wszelako ktoś chciał twierdzić, że liście *koniecznie muszą być* zielone, rozum wzdrygałby się przyjąć do twierdzenia bez dowodów, to jest bez uzasadniającego je rozumowania, gdyż tą tylko drogą można jakąś prawdę do rozumu wprowadzić. Nie zapuszczając się nateraz głębiej w te kwestye, — sądzimy, że tego cośmy powiedzieli wystarcza dla zaznaczenia wadliwości takich teoryjek, które zaniedbują drogę prawidłowego rozumowania, szukają dowodów tam, gdzie ich niema, potykają się w skutek tego co krok o logiczne sprzeczności i w ogóle mają wszystkie cechy ujemne sofistyk greckiej, nie mając bezwzględnie jej cech dodatnich — pewnej dyalektycznej wprawy. Litościwie „wzruszanie ramionami“ nad „metafizycznymi subtelnosciami“ jest tylko oznaką nieuctwa i arogancyi.

Taką to drogą błędne teoryjki dowodzą prawdy swych założeń. A jakże znów dowodzą dobra? Pod tym względem idzie im łatwiej daleko: dość widzieć ideał dobra w zaspokojeniu zwierzęcych potrzeb i mniej lub więcej szlachejnych popędów, dość walkę o byt uznać za jedyny dogmat, a na opróżniony przez ateuszów tron po dawnym Bogu wynieść egoizm i interes — a „praktyczne“ usprawiedliwienie najbardziej jednostronnych twierdzeń trudnem nie będzie. Tu znowu przychodzi nam na myśl drugi błędny komunał „fakta mówią za siebie“: kto z nas nie wie, że człowiek w stanie jest zmusić fakta do mówienia tego, co mu się podoba? Sądzimy, że i czytelnicy zgodzą się z nami w tem, że w naszej prasie i społeczeństwie istnieją pewne szkodliwe kierunki, powyżej w ogólności scharakteryzowane. Z jakiego jednak punktu zapatrywania się i na jakich zasadach mamy wyrokować o szkodliwości tego lub owego kierunku; jakich hamulców koniecznie szukać i używać należy; jakie niebezpieczeństwa grożą nam w sferze uczuć religijnych, w dziedzinie pojęć o naturze i człowieku, w ekonomii i estetyce, w naukach ścisłych i historycznych, w pedagogii i moralności? Bezwątpienia nie masz żadnej ogólnej, dla wszystkich narodów i społeczeństw, choćby w jednej jakiegokolwiek epoce, przydatnej recepty prawidłowego postępu: ani a priori, ani z punktu materialnego dobrobytu nie da się określić właściwej dozy pierwiastków duchowych i materialnych z których mikstura byłaby w danym czasie najlepszym pożywiającym dla społeczeństw środkiem. Nie zawsze ludzkość ma swobodę wyboru środków i kierunków. Zgadźmy się chętnie w tem z pozytywistą Tainem, że jak pojedynczy ludzie tak i całe społeczeństwa są w ścisłej zależności od przeszłych i obecnych warunków. Stary to zresztą pewnik, że przyszłość urabia się z przeszłości, szybkim lotem przemykającej tylko przez trudny do oznaczenia punkt, który nazywamy terażniejszością. Ztąd widać, że niepodobna w żadnej epoce uważać pewnego społeczeństwa za oderwane zupełnie od swojej przeszłości, za czystą tablicę (tabula rasa), na której wolno zaszczepiać wszystko, przyniesione z zachodu i wschodu, z południa i z północy bez względu na urobione koleja wieków poglądy i pojęcia, które weszły w krew i w ducha społeczności, które może tu i owdzie są wadliwe i wymagają sprostowania, ale nie gwałtownego wykorzenienia; a przytem — sprostowanie i postęp mogą mieć gotowe, zawsze jeszcze, i dziś jak dawniej przydatne formy i naturalne podstawy. W tym punkcie, przyznajemy się do

pozytywizmu, to jest do konieczności rachowania się z danymi pozytywnymi, z istniejącymi od wieków objawami; w tym punkcie — rzecz dziwna — ów system negacyi, bezbożności, zwierzęcego cynizmu i egoistycznego materializmu, który ochrzczono fałszywą nazwą pozytywizmu, jest może najbardziej abstrakcyjną, to jest oderwaną od realnego gruntu teorią, gdyż obala ona wszystko, co przed nią było i narzuca gwałtem swoje mrzonki. My wolimy być pozytywistami w powyższem znaczeniu, i z tego punktu w dalszych artykułach postaramy się określić niebezpieczeństwa, które naszemu prawdziwemu postępowi grożą, oznaczyć nasz kierunek w stosunku do innych kierunków, i rozwiązać zasady, na straży których stać powinniśmy i stać będziemy, gdyż ochraniać je jest obywatelskim i chrześcijańskim obowiązkiem.

S. W.

### WYJĄTKI Z LISTÓW ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

#### SERYA I

Listy z lat 1841 i 1842.

#### I.

Roma, 15 lutego 1841 r. <sup>1)</sup>

Jeździłem do Neapolu i tam kilka tygodni bawiłem; wczoraj dopiero list twój na pocztę tutejszej zastrzegły odebrałem. Pytasz się mnie o adres mój, by twój przyjaciel mógł mnie odkryć? niech się w cukierni Szpilmana na *via della Croce* o mnie zapyta.

Chorowałem na febrę włoską, miałem w pięć czy sześć jej napadów; byłem się przeziębiał przez błota pontyńskie przejeżdżając — ale się homeopatią wyleczył, czyli raczej niczem. Jakoś, mój drogi, zasuwam się w lata, za dni kilka 29 ich mieć będę na grzbiecie. Już mi się to koczowanie z gospody do gospody przykrzyć zaczyna; chciałbym gdzie na dłużej namioty me rozbić. Tymczasem nie uwierzysz jak zagmatwana płatanina okoliczności wije się koło mnie i ile trosk mi się mnoży za każdym krokiem. Niepewność przyszłości, brak nadziei, strach pewnych grożących niebezpieczeństw, życie moje wczesną żaloby powłoką pokryły; gdzie tylko chciałbym łeb z korea podnieść lub serce, tam mogę dostać strychnicem — ni tak, ni owak. Wiszę na rozmaitych nitkach bardzo cieniutkich — niech tylko się urwą a wpadnę w ciemności, w zgrzyt zębów i płacz. Wszystko to teraz, częściej niż dawniej na myśl mi przychodzi i niespokoi mnie. Czyż już się starzeję? czyż już motyle skrzydła się zwijają w duszy, a tylko gąsienica się zostaje? Bo podobno z człowiekiem na opak jak z gąsienicą się dzieje: na tem kończy, na czem tamta zaczyna; na tem zaczynając, a czem tamta kończy. Rok trzydziesty pierwszy to podobno *zchód*, nie już *wschód*, na dół — pierwsza to starość, tak jak piętnasty pierwszą jest młodością. Od lat dziesięciu com mógł tylko czynić by wyrwać się chorobie, smutkom, by walczyć z okropną rzeczywistością, jej się nie poddać, nawet z niej cokolwiek woni i światła, choćby grobowego i na grobów ozdobe, wyludzić. Ale ciężki to i niewdzięczny trud, kiedy mu *fortuna*, owa pierwsza z Bogiń u starożytnych, nie służy. Przy sprzyjających okolicznościach i błazen wyjść na meza zdoła czasami; przy niesprzyjających i kwiat zwiednie, i anioł zszatanieje, i człowiek w zwierzę i serce w kamień się obrócił. Tak, tak mój drogi.

Napisz mi też co z wiadomości literackich i pomysł czasem o mnie.

#### II.

Rzym, 22 marca 1841.

I oto znowu marzec, wiosna! Światu z łaski Bożej 1841-szy, mnie 30-ty rok! Czas,

<sup>1)</sup> Seryę pierwszą rozpoczynają listy do Konst. Gaszyńskiego. Niektóre z tych listów były już drukowane.

to najokrutniejszy z archaniołów. Ten co u bramy raj z mieczem gołym, przynajmniej stoi na miejscu; ale czas, z podobnem żelazem w obu dłoniach, goni nas i ostrza tych mieczów w plecy nam wtyka; przez plecy wskrós, aż na tamtą stronę piersi się przebija — i tak po tej kuli, wiecznie skałeczeni, wiecznie krwawi, z sercem stąpamy przesytem! O! życie gorzkim jest: bo trzeba zapominać o przeszłości, bo trzeba oddzierać ją od ciała jak koszulę Dejaniry, za którą mięsa kawały idą! Mój drogi! Kiedyś, kiedyś, gdy będziesz wspominał o mnie, pomysł żem ogromnie wiele nieznanych cierpień wytrzymał i że czasem w ciągu życia chciało mi się śmierci. Coby ci wiedza faktów pomogła? Wiedział faktum moje, oto ból! i ból! i ból jeszcze! Znasz mnie — są chwile w których nawet pisać nie zdołam. Niech cię Bóg strzeże i błogosławi.

#### III.

Rzym, 26 maja 1841.

Jednego z tych dni ktoś zadzwonił z rana u drzwi moich; poszedłem mu otworzyć. Patrzę — nieznajoma a miła twarz. Witam, on mnie także wita, jak gdyby znał mnie i mówi nazwisko swoje. Aż mi serce gwałtowniej podskoczyło; obaczywszy twego przyjaciela, zdawało mi się, że połowa, trzecia, czwarta część jakaś ciebie przywędrowała do mnie i wchodzi do mego pokoju. Nuż go się pytać o wszystko twoje. Opowiadał mi żeś znakomicie rozopieszalił się i zleniwił, zarazem żeś wrósł w grunt Prowancyi i zapuścił długie węń korzenie. Nie daj Boże — ale zdaje mi się, żeśmy się oba znacznie podstarzeli. Cóż to starość? oto, szukanie kącika spokojnego pod piecem, oto niemoc do pracy i natchnienia! Ja cerklów ni klubów, jak ty, nie mam tutaj — ale jak ty w nich, takem ja się rozmieszczań w gruzach Forum, wśród arkad Kolosseum i Term Karakalli. Stałem się żółwiem — i nie wiem co dalej ze mną będzie! Od dwóch lub trzech miesięcy nie a nie w mózgu moim już krwi niema, serce wysycha, myśl stygnie, jedna tylko wątroba się zżyma i czuć się daje. O! rok 30-ty nie dopisał mi... Na wołę Bożą się spuszcza, co przeznaczyła mi, nie minie mnie. Darmo — młodości tylko rzeczą chcieć walczyć z *Fatum* zewnętrznem, które pod postacią społeczeństwa zewsząd nas prze i naciska. Łańcuch z ludzi żywych, gdy w żywy pierścień koło nas jednostek się obwinie i okajdani, musi wcześniej czy później, ręce nam i nogi, choćby nie Duchą, przełamać. Darmo — chwile tylko silne, potężne, dziarskie, szczęśliwe można osiągnąć w życiu — ale ciągu życia nie przerobisz na wieniec ni różowy ni laurowy. Cierń jest wieńca takowego zasadniczym uplotem — i choć drudzy widzą na czole twojem zieloność i kwiaty, ty, który wianka tego nie widzisz jedno go czujesz, wiesz dobrze że on z cierniów jest, bo kaźden kolec nosisz zagrzeźły między skórą a kośćmi czaszki! O ero fajkowa! ero dziecinna! wróć mi się!). Ta lulka była pączkiem nierozwitym życia mego. Cóż z niej się wysnuło? Zar, a potem popiół, nic więcej — myślę się, bo dym i... wiesz jaki swąd z przepalanej fajki, gdy w niej osiadzie tytoń i sok i żuźle pod kształtem martwej skorupy, którą nożem odkrobywać trzeba i za okno wyrzucać. W zmniejszeniu są to dzieje każdego wulkanu. Każdego wybuchu ostatecznym końcem ciężko-skrzepla lawa i suchy pył, czarny kurz węgli startych; to samo w fajce naszej widziałem, to samo na Wezuwiuszu, to samo w życiu mojem!

<sup>2)</sup> Z. K. w młodych bardzo latach przywykł namiętnie do palenia tytoniu. Gdy napomnienia ojcowskie nie pomagały i palenie odbywało się w ukryciu, ojciec cofnął swój zakaz. Gaszyński, nieodstępny wówczas towarzysz Z. K., chwilę tę nazwał w uniesieniu „erą fajkową“ — odtąd nazwa ta pozostała na zawsze, ilekroć wspomniano o czasach szkolnych, razem spędzonych.



74

Niech cię Bóg błogosławi i strzeże, a da się nam kiedy, gdzieś, choćby dopiero w niebie, spotkać.

Twój przyjaciel bawił tu dni kilka, teraz pojechał do Neapolu. Ja zaś za tygodni dwa wyjeżdżam stąd i bałamucąc po drodze, na połę morską, na połę lądową, koło 10-go lipca dostanę się do wód *Kissingen*, w Bawarii. Tam pisz do mnie.

IV.

Rzym 12 Czerwca 1841 r.

Tysiąc ci dzięków składam za mozolny trud, któryś zadał sobie dla mnie, przepisując ten artykuł, który już tutaj mnie był doszedł *sub propria specie*<sup>1)</sup>. Ślicznym stylem pisany, ale złośliwie i stronniczo. Wspomina krytyka o rafinerii romansowej, o galanterii, której w średnich wiekach nie było u rycerzy. Owszem, w średnich wiekach zdarzały się takie rzeczy. Samobójstwo Romea jest poświęceniem wszystkiego dla miłości; u nas, młody Żółkiewski, synowiec Hetmana, gdy mu jakiś Wojewoda córki odmówił, porwał za nóż, pchnął się i zabił w oczach Wojewody i córki jego. Wreszcie położenie tego, który się w poemacie zabija, tem usprawiedliwione, że gdyby się nie zabił musiałby własnego stryja zamek zburzyć, a jego pod sąd oddać. W tym zbiegu okoliczności leży możność pojęcia, że on musiał od swoich odstąpić, i swoją zabrawszy odejść do Pana Boga, na ziemi albowiem nie było już miejsca dla niego! Wśród partij politycznych często zdarzają się podobne stany umysłowe, podobne konieczności, podobne *fata*; kto ich nie czuje, ten dziekiem jeszcze co do historyi rodu ludzkiego. Nie każdemu być wielkim człowiekiem; wielki człowiek albowiem jest ten, któremu się uda wszystko pogodzić, siebie i zewnętrzne okoliczności złąć w jedną chwałę, w potęgę jedną; ale bohaterem być można bez zwycięstwa, wśród najopłakawszej przegranej. Poezya ceni wysoko bohaterów, — nie pyta czy im się udało czy nie, pyta tylko o to czy byli dzielni; a gdy muszą wpół zawodu, nie dokończywszy dzieła swego, umierać, skrzydłem ich swoim okrywa i mówi: „przypomnę was ludziom, i ludzie rozplaczą się nad wami.“ Taka różnica Poezyi od Historyi: w pierwszej jest Miłość, w drugiej Rozum tylko. Co zaś krytyka słusznie zauważyła i wytknęła, to nieraz napotkane napuszenie, niby pretensją. To prawda — ale proza poetyczna jest trudem trudów i w niej, szum, prawie warunkiem koniecznym się stawa. Tyle o tem. Za twoje inne doniesienia, tysiąc Ci dzięków także.

Ztąd za dni kilka wyjeżdżam do *Kissingen*, gdzie zapewne do 1-go Augusta zabawię.

V.

Monachium 18 Lipca 1841 r.<sup>2)</sup>

Dzisiaj tu, jutro tam — taka zwrotka ciągła pieśni, czyli raczej kakofonii mojej, życia mego. Przed dziesięciu dniami wypłynąłem z Neapolu; woń kwiatów goniła mnie aż na statek parowy, na środek morza, a pamięć światła i błękitów tamtejszych, goni mnie aż tu, pod tem czarnem niebem, z kąd nieprzerwany deszcz się leje i w błoto ziemię zamienia. Na szczycie Alp pożegnałem słońce! Czy myślisz, powiedz mi, że można żyć bez słońca? Słońce jest jako zdrowie: często gdy świeci człowiekowi, nie ma uniesienia w duszy człowieka; lecz kiedy zniknie, żal duszę porywa, żal pełen goryczy — i radby człowiek znów wrócić do słońca! Tak ze mną teraz się stało. We Włoszech byłem trupem czarną melancholią toczonym; lecz gdy przejechałem błękitu granicę, gdy dostałem się pod szarą kopułę z mgieł, przebudziłem się jak czło-

wiek co z letargu się zrywa, gdy dotkną się go rozryznającym żelazem — i lży cisną mi się do duszy, gdy wspomnę o tej zatoce z *Lapis-Lazuli*, z której niedawno wypłynąłem. By zastąpić słońce Włoch, trzeba słońca duchowego, słońca wrzającej działalności w duszy człowieka; kogo takim losy obdarzą, ten może wyżyć i na północy — ale kto nie dostał takiej gwiazdy promiennej czynu i ruchu w udziale, ten, rad nie rad, otoczony nieba ołowianego widnokretem, tęskni za owem porzuconem, gdzie tyle gwiazd mu świeciło!... za pogodnemi dniami Rzymu, gdzie mieszkają śmierć trzech tysięcy lat i życie wieków wszystkich razem, grób Rzymu i słońce Boga!

Teraz w inne przenoszę się strony; jadę za ojcem do *Wildungen*, w księstwie *Hessko-Kasselskiem*, trzy mile od *Kassel*, niedaleko od *Hirschfeld* i *Fuldy*. 25go Lipca już tam będę wraz z *Konstantym*.<sup>1)</sup> (d. c. n.)

POCIECHA RODZINY.

OBRAZEK OBYCZAJOWY<sup>2)</sup>

czytany publicznie na rze-z Osad Rolnych w dniu 21 marca r. b.

Pociechę rodziny nazwijmy sobie Manią lub Janiem. Cóż powszechniejszego u nas nad te dwa imiona — co mocniej upodobanego? Rzecz to niemal narodowi naszemu wrodzona. Toż nawet w pieśniach ludu, ci którzy kiedykolwiek bywali pociechami tej arcylicznej rodziny, nazywali się zawsze Jasiem i Marysią. Zdrobniale także mówiono: *Marychna*, ażei nareszcie *Marysienka*, nadobna królowa. Dopiero *Mickiewicz*, po romantycznemu *Maryę* jako *Marylkę* w obłoki z sobą unosił, z czem im obojgu dziwnie było do twarzy. Więc też w ślad za nim tak dużo a bezpotrzebnie rymowano dla przeróżnych *Marylek*, tak utrapienie nakreślano je do „moyłka i chwilki“, że się aż wszystkie przejadły; skutkiem czego pomyśleć wypadło o zaradzeniu złemu. Jakoż dawsy odprawę *Marylece* (ile że się nawet nie przyjęła w *Paryżu*) zmieniono ją na *Maryjki* i *Marytki*, aż wreszcie za dni naszych powszechną maniją *Mania* się stała, a zwłaszcza prawdziwą plagą jej zdrobnienie *Manusia*.

Przez ten czas mniej więcej, to samo działo się z *Jasiem*. Z gminu jak *Marysia* wyszedłszy, przybierał coraz gładsze, coraz odpowiedniejsze, w miarę urodzenia formy. W epoce demokratyzmu przechodził on przez *Janka*, był *Janciem*, aż dopóki nim *Fredro Twardoza* nie przezwiał; wtedy przeistoczył się w *Jania*, do czego gdy doszedł, rozłamano go na dwoje, czy też wyjęto mu z pod żebra bajeczną towarzyszkę imieniem *Janinę*, której patronką jedyną jest chyba upatrzona w gwiazdach tarcza *Sobieskiego*...

Ale wróćmy do głównego przedmiotu.

Tedy, jak to z góry przypuściliśmy, pociecha rodziny jest albo *Janiem* lub *Manią*. Najczęściej nosi już imię, zanim na świat przyjdzie. Wprawdzie, nie zawsze oboje rodzice jednego pragną, przy tej zręczności czasem się nawet poróżnią, wszakże to tylko dla tem słodszej zgody. Gdyż nareszcie pewnego dnia uroczystego zjawia się gość pożądany. Co tu radości — to dopiero święto! „Gość w dom, Bóg w dom“ — powiada przysłowie. Cóż dopiero gość z innego świata! Jużciż gość, bo czyż człowiek nie jest tylko gościem na ziemi? Ale nie w taki sposób myśli o nim rodzina. To przecież ktoś nie a nie nie umiejący życia, którego dopiero przyjdzie świata uczyć; ktoś całkiem swój, a jeszcze nie znany; niby do jednych należący, ale wszystkim wspólny; przez

każdego z osobna wyczekiwany, wyteschniany i nareszcie ziszczony; jednym słowem ogólna pociecha. Właściwie zaś, jest to tylko rodzaj nowo-przybyłego, o nie i o nikogo nie dbającego pana, któremu wszyscy w pokorną służbę całym sercem idą.

A jak też ten pan wygląda? spytacie. O! to rzecz zdumiewająca! Podobnie pięknego dziecka nie było i nie będzie. Obcy tylko (profani), znajdują, że przypomina którekolwiek z rodziców; ale matka widzi w niem aniołka z *Madonny Sykstyńskiej*, ojciec zaś słynnego amorka z wystawy *paryzkiej*, choć głośno tego nie mówi. *Babcia* z zachwytem upatruje w niem *rysę Kunisy*, nieboszczki swojej siostry, sławnej niegdyś *pod Blachą* piękności, która że się wychowywała w *Puławach*, nigdy wyjść nie chciała za prostego szlachcica. *Ciooci* zaś, *ruchy* jego przypominają pewnego cioteczniostryjcznego kuzyna, *galicyjskiego hrabiego*, człowieka z *manierami*, perłę rodu (całe życie się w nim kochała), który się nawet wybierał do *Kalifornii*, ale po drodze uwiązał w *Homburgu*, i nie pojechał dalej, bo nie miał za co. Słowem każdy w tem dziecku ideał jakiś ogląda; jeden tylko wuj *Zenon*, brat matki, zimnokrwisty współpracownik *Drogowskazu przyszłości*, (w chwilach wolnych uczęszczający do czwartej klasy *gimnazjalnej*) twierdzi pozytywnie, że dzieciak nie zasługuje nawet na uwagę myślącego człowieka, co usłyszawszy umilkł *Józio* chcący w nim widzieć *Sezostrysa*, a tem bardziej *Klimcia*, porównywająca go do kotka *Filusia*.

I oto rośnie pociecha — śliczności dziecko — a jak mądrzej! Jakże? toż wczoraj po dość długim namysle wyraźnie powiedział: *bhe, bhe*. *Nastusia* zaręcza, że to miało znaczyć *szafflik*, *Marcinowa* zapewnia, że tożyczki, ale mogło to być również: *pije Kuba* do *Jakóba*, *Mości Dobrodzieju*, albo na zdrowie, a świat nie więcej by na tem zyskał. Dopieroż tysiączne rozumy, gdy już mówić zaczęli! *Widzianoż* kiedy *bystrzejsze* dziecko? Na fortepianie całemi pięściami gra, *kredą* po wszystkich sprzętach pisze, *pacierza* nigdy mówić nie chce, toż istny *geniusz* wieku *dziewiętnastego*!

Wspomnieliśmy mimochodem o ciężkiej niewoli, w którą się cała rodzina pociesze swojej zaprzeda. Niechby tylko rodzina, ale cóż winni bliźni, choćby najdalsi? O! *Molochu* stary, któremu ongi dzieci na ofiarę żarzynano, jakżeś dziś wywrócony na nice! jakżeś się owszem w pociechę rodziny sam przeistoczył! *Bowiem* jestże myśl poważna, upodobanie w rozrywce, wygoda, przyjemność, lub choćby chwila swobody, z którejbys nie zażądał ofiary, wiedząc z góry, że ją otrzymasz? I gdzie się tu nawet schronić przed tobą, o wszechpotężne bożyszcze? Do kościoła może? Ależ tam właśnie w najlepsze *Janio* z *Manią* w chowanego grają, do processyi się podsadzać każą, i w pośród ciszy *Podniesienia* głośno napierają się do domu. Im większy ścisł, tem i stosunek ich znajdziesz tam liczniejszy, i jeśliś wtedy mocniej szturgany niż w dzień powszedni, to tylko w przewidzeniu: że mógłbys które z nich potracić. — No, ależ na wystawie, to się już chyba nie spotkasz z niemowlętą? Tymczasem, któż to tam *karminowej* postaci *prze-straszonego Danta* *piernik nadgryziony* koniecznie do ust przytyka, owdzie gwałtem *gipsovą Urszulkę* pocałować pragnie (i jako żywo z pomocą mamy całuje), indziej znów przed portretem *damy* jakiejś stanąwszy, gada głośno, że ta pani nie dosyć ubrana? Po części może w tem i wystawy wina? Po cóż tak dużo rozczulających przedmiotów i tak wytrwale na podziw ludzki w swem łonie przechowywać? No, *miejscać-tam* wprawdzie nie mało...

Ale chyba jeszcze obszerniej w *Saskim o-grodzie*. *Włóka* słysze przestrzeni, toż to nie żarty! Jest gdzie chodzić, jest gdzie i usiąść. Zapewne, ale tylko wtedy, kiedy nikt nie chodzi, i nikt też usiąść nie pragnie. Inaczej,

<sup>1)</sup> Mowa tu o krytyce Poematu „*Noc Letnia*“, którego pierwsza edycja była się podówczas ukazała.

<sup>2)</sup> List udzielony nam przez *Wgo J. I. Kraszewskiego*, z upoważnienia rodziny s. p. *Adama Sołtana*, do którego był pisany.

<sup>1)</sup> *Konstanty Danielewicz* — patrz Nr. 6 *Kroniki Rodzinnej* str. 80.

<sup>2)</sup> Należy on do *Seryi* tak zwanych przez autora: postaci z *Czarnoksiężkiej Latarni* W podobnym rodzaju zamieszczona już była w *Kłosach Osoba nerwowa*, oraz *Tancerz do nąjęcia* w *Tygodniku Ilustrowanym*.



w największym ścisłości, króluje tam społeczeństwo przysięgi, to jest ludność złożona z samych pociech i ich dworu. Tam, jeśli dostał piłkę w głowę, obręczą w kolano, lub welocyped wjechał ci na pięty, dobrze ci tak, po coś się znalazł na drodze? I z kąd taka kurzawa w tej alei, tak starannie wodą skropionej, na której skutkiem tego najpowłoczystsze nawet suknie ogony wzięły pod siebie? Oto prosto, na przyległych placach, odbywają się wyścigi, gra w konie, w dzikie konie, jak się zdaje, bowiem oblaskawione ani tak wrzeszczą, ani takich tumanów nie wzniesają. O rozkoszy wieku małego, jakże dotkliwą dla płuc i wzroku! i jakże jedyna w grodzie naszym zieloności oaza, dziwnie jest tobie na łup odana!

Jakto? Jest przecie osobne miejsce dla dzieci w Saskim ogrodzie? Zapewne, ale to dla zwykłych dzieci, nie zaś dla Jania lub Mani.

Próbujesz usiąść, nie ma gdzie, chyba w bocznym alei. Bo tu wszędzie panują mamki i nianki, i to nawet dość szeroko. Obok nich bowiem mieszczą się także składy niewinnych przyborów niezbędnych na dłuższy pobyt: wózki, kołyski, smoczki, powijaki, pieluszki na zapas, lalki, bębni, trąbki—jakże? wszystko musi być pod ręką.

Czyżby nie można gdzie dalej?

Ależ Balbisia musi także widzieć ten tam świat modny, cóż ona gorszego od drugich?

Bogiem a prawdą, godzin jest nawet robotnik zapłaty swojej. Co chcecie? Kiedy ją godzono, kazano jej się wyrzec przyjmowania gości, srebrnej sali, tryratru, wycieczek niedzielnych na Pelcowiznę, nawet chodzenia na Roraty. Następnie wyżyłowano z niej wszystko, co w niej mogło być jaką indywidualnością. Nie będzie znała ani nocy, ani święta, ani miała innego rozumu, jak zbiorową mądrość zjednoczonej potęgi cioci i babek pod wspólnym przewodnictwem samej pani; ani innego zachęcenia, jak potrzeby powierzonego sobie dziecka; ani innej uwagi, jak jego rozumy, ani innej troski, jak jego zachęcenia, ani innego upodobania, jak gotowość na każde jego skinięcie. Nadto winna być jeszcze: wierna, posłuszna, porządna, łagodna, czysta, cicha, przystojna, trzeźwa, prawdomówna, przyzwolita, zdrowa, uczciwa, zgrabna, moralna, roztropna, nie chrapiąca w nocy, i do tego nie droga.

No, i taki ideał znajdziesz jednak przy jakim wysiłku. Wprawdzie z jego powodu lokaj co miesiąc dziękuje za służbę, kucharka niewa oko podbite, sąsiedzi zaś spokój zamęczony. Chodzą też wieści: jako ta perła piastunek w ogrodzie ćwiczy dziecko prętem ułamanym własną ręką dozorcey, który przecież pilnuje żeby niktnie nie łamał; córka zaś maglarki (pragnąca zająć jej miejsce), zwraca uwagę na bukiety, które ona z tamtąd codziennie przynosi, choć wiadomo, że w ogrodzie nikomu rwać nie wolno. Ale te bukiety zwykle są pani oddawane; z tyśiącem uciesznych opowiadań o rozumach aniołka, więc co tu i gadać o jakich podejrzeniach! Dopieroż zachwyty, dopieroż hojne kadzidła: pani starszej, paniom, pannom i paniomkom, dopieroż ploteczki, nowinki, podchlebstwa, zręczne zmyślenia. Słowem, Balbisia jest u wszystkich w łaskach, to dość powiedzieć, cóż dziwnego, że ma nieprzyjaciół? I to za tyle poświęcenia, nie miałyby jeszcze siedzieć na ławce w środkowej alei? przecież coś za coś, darmo nie.

Cóż robić, siadasz tedy na boku. Tam, o radości! spostrzegasz się nawet w powabnym sąsiedztwie trzech młodych kobiet.

— Czy uwierzy pani, że dziś moja Mania—odzywa się po chwili jedna.

— Właśnie wczoraj mój Janio—przerywa druga.

— O, to nic, w porównaniu...

— Ale pozwoli pani, że przecież...

— Jakto? czyżby kochana pani na prawdę sądziła...

— Ja nic nie sądzę, droga pani, ja jestem pewna...

Tu zwracając rozmowę na inny przedmiot:

— Przepraszam panią. Amelko, rzecz do sąsiadki, czy to od Hersego ten twój kornierz?..

Obie panie mocno są zarumienione, Amelka zaś zdaje się podzielać oburzenie towarzyszek. W tem Janio podbiega do swojej matki:

— A powiedziała mama: jak to ja wczoraj panu Prosperowi chodziłem po nagniotkach, kiedy siedział przy cioci Wandzi?

Z drugiej strony Mania ciągnie matkę za suknię:

— Mamo, a jak to ja się onegdaj ubrała w mamine włosy i brwi sobie pomalowała jak mama?..

Matka Jania uśmiecha się złośliwie, widząc, że jest tego świadkiem ktoś obcy; współzawodniczka jej zmiażdżona jest jak niepodobna dokładniej. Co do mnie, oddalam się zawstydzony z tych miejsc, w których sam się mimowolnie stałem pocieszeniem czyjejs rodziny.

Nie sądzę jednak, żebyście przypuszczali, że tylko w Saskim ogrodzie społeczeństwo przysięgi rej wodzi. O nie! wiercie mi—nie się tak szeroko nie rozpiera, nie tak dużo nie zajmuje miejsca, nie tak głośno nie gada. Niech tam sobie na Bożym świecie komu chce ciasno będzie, Janiowi i Mani zawsze jest wygodnie.

Oto naprzykład wchodzisz w towarzystwo. Zaledwie usiadł, przekonany żeś zrobił wrażenie:

— Mamo—pyta ktoś z kąta—co to za jeden ten czarny?

— Cicho aniołku—to taki [pan co robi wiersze.

Aniołek zadaje na to tylko trzy pytania, ale od których ogarnia cię zniechęcenie do życia.

— A na co on robi wiersze? (w tem miejscu przygryza sobie usta szesnastoletni pozytywista, dowodzący jak cię to z boku doszło, żeś tylko próżniak nieprodukcyjny).

— A czy to dobre są te jego wiersze? (Tu znów uśmiecha się z politowaniem wspomniany wyżej wuj Zenon, krytyk domorosły).

— A czy on grzechny? W tym jednym razie czujesz się zwyciężoną. Bo gdybyś nie był grzechny, wszak bez namysłu wyrzuciłbyś bębna za drzwi.

Żeby tego nie uczynić chodźmy coprędzej gdzieś, choćby za miasto, dajmy na to, do Botanicznego ogrodu. Ale tam, któż to z drogłym rykiem domaga się kwiatków? To przecież Mania, ukochana kruszyna, ach, jaka zabawna!

— Kwiatków? o! masz ich ile chcesz, kochanie, tylko nie krzycz tak głośno, pieścotko, bo dostaniesz czkawki robaczku, i nos ci spuchnie, ptaszyno. Tu oto znajdują się rośliny pastewne, tam znów lekarskie, owdzie farbierskie, czy truciznowe, są nawet zagraniczne, o! są—te tam orchidee...

Ale kiedy ona pragnie koniecznie tych, które widzi na kapeluszu u jakiejś obcej pani, a ta pani dać ich nie chce.

— Nieznośna pani—powiada matka—tak małej rzeczy żebyś zaś kto dziecku żalował! Właśnie jej też nosić kwiaty! I po co to takie wpuszczają do ogrodu?

A tymczasem, dama ta jest baronową Placydą, posiadającą pałacyk w Alei Ujazdowskiej, oraz pieska z wystawy londyńskiej, który kosztował aż pięćdziesiąt funtów szterlingów. I dogódźże tu proszę komu!

Inną razą, wybrałeś się koleją. Wagon pełny, zaraz ruszycie. W tem otwierają się drzwi—i konduktor prosi uprzejmie, żeby się posunąć, bowiem jest jeszcze jedno miejsce nie zajęte. Miejsce to bierze w posiadanie dama jakaś, wraz z jedynaczkiem synkiem, za którego przeprosza, zaręczając, że się tam chłopczyk zachowa, jak żeby go nie było. Alieci zaledwie się rozsiadł z niemałym udęczeniem spoconego jakiegoś jegomości:

— Mamo—odzywa się dogmatycznie—ja nie chcę, żeby ten tu siedział.

— Daj pokój kotku—prześiądziemy się na stacyi do innego wagonu.

— Ale ja chcę żeby on sobie wcale nie był.

Jak tu zrobić żeby kto wcale nie był, kiedy już raz jest? A znowu, jak tu mieć serce odmówić dziecku cokolwiek?

W niemocy swej, matka kłiwa wznosi tylko oczy ku niebu, przekonana, że zasapany sąsiad jest wierutnym jakimś niegodziwcem, skoro go Janio cierpieć nie może.

Bo trzeba wiedzieć, że nieomyślność jest charakterystyczną cechą Pocięchy Rodziny.—Dziecko czegoś nie chce, musi mieć w tem swoje powody. O! dzieci miewają cudowne przekonania.—Dziecko jest grymasne, coś mu pewno dolega.—Złe jest, nie trzeba go drażnić, bo nie łatwiejszego jak znarowić szlachetną naturę.—Uparte, o! to właśnie stałość charakteru,—krnąbrne, to niepodległość ducha,—kłamie, to tylko żywa wyobraźnia.—Uczyć się nie chce, ależ Boże drogi, jestże co nudniejszego nad naukę?—Nieprzyzwyczajone jest, eh, między nami mówiąc, po co te ciasne formy, krępujące tylko indywidualność?—Do rozmowy się wtrąca, gada co mu ślina do ust przyniesie,—bardzo słusznie, tym sposobem jedynie umysł się jego rozwija, pojęcie rozszerza, rozsądek wyrabia.

Już to w ogóle w wychowaniu dzieci, nie ma jak rozumowanie! Wszelkie środki gwałtowne na nic. Dziecku koniecznie trafić trzeba do przekonania, w razie zaś niemożności ustąpić, oto cała tajemnica domowego spokoju. Ztąd nie dziwota, że o dobrą bonę, o guwernantkę, daleko trudniej jak o piastunkę. Nigdy ich jakoś dobrać nie można. Nie umieją sobie dać rady, nieznośne są, skarżą się tylko ciągle, narzekają, i kiedy je odprawisz, obgadują cię po mieście bez żadnego pomiarowania. Dzieci im nawet powierzyć nie podobna. Spróbuj je z boną do ogrodu wyprawić, to ci taka gotowa zaraz koło apteki przechodzić, z kąd, jak wiadomo, wylatują trujące wyziewy, albo pozwolili Janiowi przed sklepem fabrykanta dubeltówek się zatrzymać, gdzie znowu o wypadek nie trudno. W dalszym ciągu dowiadujesz się, że Mania miała zajęcie z dozorcą o chodzenie po trawniku, Janio zaś wraca z obdrapanem kolaniem, tak, że go z jaki tydzień nie będzie można ubierać po szkocku. A wiadomo przecie co to szkockie ubranie! W samym Paryżu tak się ubierają dzieci, nie jestem pewny czy i w Szkocyi, ponieważ jednak Paryż wszędzie jest wyrocznią mody, więc zapewne tak samo i w tej romantycznej krainie.

O! już to w wychowaniu pociech rodziny, ubiór jest jedną z najważniejszych rzeczy, co mówię, nawet najważniejszą. I nie dziwnego. Bowiem w tym wiosennym wieku, nie człowiek zdobi szatę, ale ona człowieka.

W tym względzie miałem sposobność studyować raz w towarzystwie bardzo ucieszego chłopczyka. Kiedy do herbaty nakryto, on się położył na stole, i tak dzielnie wierzył nogami, że filizanki podskakiwały z wielkim brzękiem, a noże układały się z widelcami w kąty matematyczne bardzo urozmaicone. Następnie na tymże stole siadłszy w kucki, brał garścią szynkę, i obrywając z niej tłustość, rzucał te szmaty gdzie się nadarzyło. Przez całą tę robotę, matka wytrwale udawała głuchą i niewidomą. Aż dopiero kiedy porwał cytrynę i dusił ją w taki sposób, że mu z pomiędzy palców sok na wszystkie strony wytryskał:

— Janiu—rzekła słodziutko—tu vas faire des taches à ton habit mon bon.

Cóż powiecie? usłuchał zaraz poczciwości pieścota, i wytarłszy dłonie w szatę matczyną, poszedł spać po amerykańsku, to jest opierając nogi na etażerze z sewską porcelaną.

Ale oto czas by już i o nauce myśleć. Mania coraz się namiętniej za zwierciadłem przepada ale syllabizuje jeszcze niezbyt płynnie, z mężczyznami bawić się lubi, ale do drutów ani ją namówić.—Przyjdzie to, przyjdzie z cza-



sem, ah! niepilnego.—Za to, po francuzku wcale już nie źle szczebioce, a to, wiadomo przecie, podstawa edukacji.

— Janio bo już nawet kreski stawiać zaczyna, no, nie bardzo tam proste; z tabliczką mnożenia ma niejakie trudności, ale co tam! nauczy się, nauczy, dziś rachowanie z powietrzem człowiek w płuca wciąga? Gdyby tylko nie tak było trudno o dobrego korrepetytora. Zaden z nich nie umie dziecka zachęcić, uprzyjemnić mu nauki; wszystko to pedanci, przesadzający ważność swego powołania, utyskują tylko ustawicznie, zgodzić się z dzieckiem nie umieją, narazają mu się zbytkiem wymagan.

Ale nareszcie znalazł się jeden porządniejszy. Bardzo wesoly chłopiec, choć go do rany przyłóż, jak Boga Kocham. W Eldorado był, o pannie Goosz z nim pogadać można, umie mnóstwo wyjątków z Pięknej Heleny, a także kankana z Zycia Paryzkiego, zabawny bestya, niech go *djabli!* po dwa lata słyszę w jednej klasie przebywa, no, ale się zawsze w końcu jak to mówią *wykpi*. Otóż, coś po roku, jak się zawiął około chłopca, jak mu zaczął obiecywać: to mundur, to zegarek z dewizką, to binokle na czarnym sznurku—tak go i przygotował do pierwszej klasy. Sam był przy egzaminie, podpowiadał kunsztownie, i dość powiędzieć, poszło jak po mydle.

Jania przez czas jakiś służąca odprowadza do szkoły, bo na ulicy mogłaby go przejechać dorozka; ale raz jak się z niego zaczęli wyśmiewać koledzy, tak zmuszony był postraszyć ich swoim ojcem, za co go zaraz wyflukli. Kiedy się na to przed rodzicami poskarżył, dostał w klasie jeszcze lepszą frycówkę i dopiero dzięki hojnej *fundzie* (ma bowiem zawsze na ciastka) zawarto z nim niezłomne na jakiś czas przymierze.

Nawet nietylko na czas jakiś. Gdyż pokazuje się, że Janio ma złote serce. On poprostu potrzebował tylko raz dobrze oberwać po skórze, żeby się wszczepić w życie klasowe.

Powoli nabiera nawet coraz większej wziętości, następnie i powagi.—E! Janio! niech żyje Janio! bodaj to Janio! to dopiero koleżka!—Ma wszystkie książki, słowniki, wzory, atlasy, wszystko u niego pożyczyc można—nawet nie koniecznie oddać, nie przywiązuje on do tego tak wielkiej wagi. Większą daleko do pukałek, a zwłaszcza do piłki, która jest z całej klasy najlepsza. Posiada także łyżwy, puszkę na owady i chorągiewkę na rozmiar, na co przecie nie każdego stać. Do tego ma zawsze pieniędzy huk; bulki nie jada innej jak z masłem, jabłek i śliwek ile zechce, nawet daktyle, o! a nazwisko swoje wykrawa scyzorykiem gdzie tylko siądzie. Słowem, wszystko szłoby jak najlepiej, gdyby nie profesorowie, którzy są zwykle niesprawiedliwi.

Pytasz się w domu wieczorem:—Janiu, czy umiesz lekcję na jutro?

— A jakże?—powiada.—Już ciżby nie kłamał.

A tu cenzura kwartalna pełna pałek, jak to mówią. Nie ma rady, coś sobie do chłopca upatrzone. Tedy się Janio do innej szkoły przenosi, z tej znów do innej, ale wszędzie ta sama niesprawiedliwość.

Stopniowo tymczasem na coraz większego wyrasta dryblasą; i co poprzednio w pierwszej ławce siadał, teraz się coraz bliżej ku piecowi przymyka, aźci i razu pewnego zaszedł za jego wzięcie, jako słońce utrudzone. Ztamtąd stanowczo już za patryarchę i wzorowego bursza jest uznany. Jakże? toż przecie pod ławką romanse czyta; wiadomo również, że w domu papierosy pali, a co ważniejsza, że się niemi zaciąga. Czasami nawet już i golić się musi. Mundur zwykle dość wyarty miewa, ale za to włosy rozdzielone aż do karku, a na nogach buty z dziurkowatemi nosami, ale czyż to tylko tyle? Bo na wieczorach czyż się to on nie ukazuje we fraku i w białej krawacie, z szybką w oku tak dzielnie zahaczoną, że nawet mazura wytrzymuje bezkarnie? Widzieć go tak-

że można grywającego w billard u Joasi, obojęcie nawet znał grubą Florę. Z tem wszystkim, do teatru na paradyś tylko chodzi (choć mógłby i do pierwszego rzędu, a nawet do loży), bo znajduje, że tam nierównie swobodniej. Widzieć go tedy proszę na pierwszym przedstawieniu jakiej sztuki, lub wystąpieniu nowego aktora, jak to on nadaje akcent całemu przyjęciu! Wszystka górna sfera jemu jednemu niby wyroczeni ufa, według niego tylko przywołując, sykając, żądając bis lub z niecierpliwości tupiąc w międzyaktach. Siarczyscie on lubi balet (proteguje nawet jakąś tancerkę, choć ona jeszcze o tem nie wie), Offenbacha jednak nad wszystko przekłada, chociaż i *na Włochów* chodzi *dla tonu*. Za to w klasie coraz mocniej ziewa, i tak się już do niesprawiedliwości niechęcił, że ile razy go wyrwą, powiada tylko krótko „nieprzygotowany“.

Za moich czasów, był jeden zacny profesor, mający zwyczaj mówić takim jegomościom:—Co ci tam dłużej do szkoły się trudzić, mój panie; zapuść sobie oto wasy i idź na obywatela.—Ale obecnie, ze zmianą okoliczności, obywatelem być, rzecz to pracy i nauki,—za to bez jednej i bez drugiej najłatwiej zostać literatem.

Janio tedy literatem zostanie.

O! ma nawet talent, ale do czego to on ma talent? Jeszcze nie wie dokładnie. Próbował wiersze pisać, nie szło. Możeby dramat lub powieści, ale precz z tą formą zużyta, (właściwie zaś, jak tu wymyśleć co takiego, kiedy kto nawet ćwiczenia porządnego sklecić nigdy nie potrafił?) Ale prawda, a krytyka?

Właśnie zapoznał się na billardzie z redaktorem *Drogowskazu przyszłości*, ogromnie dzielnym materyalistą, nadzwyczaj niepodległym w swoich sądach, pełnym energii w wyrażeniach. O przedziwna zrzeczności! Ten ostatni, tylko co zmuszony został *powypędać precz* dotyczasowych swoich krytyków, którzy już, o zgrozo! mięknąć zaczęli (właściwie zaś, żądali zapłaty) miejsca tedy są jak raz niezajęte.

— O czemże Janio życzy sobie wyrokować: czy o teatrze, czy o literaturze, czy o sztukach?

Janio się zdumiał:

— Ależ o wszystkim.

— To dobrze. A z jakiego stanowiska?

— Jako: z jakiego stanowiska? Na co tu stanowisko? żeby w miejscu stanąć? Owszem, wcale przeciwnie, tu trzeba naprzód iść, przebojem, z pięścią i kułakiem gotowym, na usługi mając styl jutrzejszy, nadzwyczaj obrazowy, nie przebiegający w wyrażeniach, jedyny, dosadny, słowem taki: co to operowanemu aż w piętę idzie.

— No, ale wreszcie...

Nie ma ale. Czyż się on potrzebuje komu usprawiedliwiać: dla czego co gani lub chwali? Tak mu się podobało i rzecz skończona.

Z kolei zdumiał się redaktor. W to mu graj! toż to perła współpracowników. Honorarium żadnego nie żąda; byle się tylko widział wydrukowanym. Co większa, sam pismo prenumeruje, a nawet zbawienną groźbą drugich do tego zachęca.

Przez cały czas ten, co też Mania porabia? A ona czemu by także talentów nie miała? Owszem, raz dla tego, że jest jak wiemy doskonałością, a po części, że na talenta łatwiej męza przywabić.

Do męża wprawdzie jeszcze daleko, to też i ona dopiero gammami spokojnych sąsiadów udrećza. O wielki Wasco de Gama! jeśli ty przy cierpliwości Afrykę całą opłynął, czemużby Mania bystra, z pomocą gamm, do fantazyi z Afrykanki dopłynąć kiedy nie miała? Może się to stać cudem jakim, choć wątpię. Słyszałem ją na imieninach ojca, w obec mnóstwa ziewających gości, którzy bardzo chwalili. Była to niespodzianka, choć ojciec zachwycony zdawał się rzecz tę całą na pamięć umieć. Mania ubrana według ostatniej mody (dziecinnej), grała skromne jakieś waryacje Hüntena, jakając się, myląc, często nawet wcale się nie

poprawiając, no, z pomieszczenia, mówiono. Ale w jakie kilka miesięcy słyszałem ją już bez pomieszczenia, grała to samo i tak samo. Grała także coś więcej, z tą samą co i tamto poprawnością, i bądźcie pewni, że na tem jeszcze nie koniec. Nie wątpie także, że nawet za lat dziesięć, najdokładniej w tych samych miejscach potykać się i chromać będzie.

Raz któraś z cioc zwróciła na to matki uwagę.

— A! to nauczyciela wina, trzeba wziąć innego.

Ale nauczyciel im lepszy tem i więcej kosztuje.

— Ha! to trudno, kiedy jest talent...

Gra tedy Mania coraz ryzykowniejsze rzeczy, z coraz większą pewnością siebie, z coraz energiczniejszym zamachem, ba! już i Szopena napoczęła. A egzercytuje się, o! po kilka godzin dziennie. Szczęśliwi sąsiedzi, którzy do bióra jakiego chodzą, albo na giełde, lub słuchają przytępieni, jak właśnie stary artylerzysta, który mieszka o ścianie. Ale za to cóż winni: paralytyk z dołu, literat z drugiego piętra, a zwłaszcza młody kompozytor z facytki w dziedzińcu? (ten ostatni nie wytrzymał nawet do kwartału).

O fortepianie! tyś chyba nie jest z nieba rodem! Jakże? dla tego, że Szwarz tam jakiś proch powiadają wymyślił, potrzebaż było większą jeszcze od niego kłeskę z przedwiecznych ciemności na zgubę świata wyciągnąć?

Jeden z moich przyjaciół mający dzieci kilkoro i przeto nie mało w domu muzyki, kiedy go pytano jaki instrument lubi najlepiej: Skrzypce, odpowiedział bez namysłu, bo te razem z grajkiem najłatwiej wyrzucić przez okno.

Nie myślę bronić podobnej zasady; aleć dawnemi czasy, kiedy fortepian był jeszcze klawicymbalem, jeśli już kto koniecznie talent mieć musiał tedy go z gitarą kojarzył, albo przy harfie używał, i to kosztowało wcale nie wiele. Dziś gitarę u gorzelnego tylko napotkasz, a także w garderobie u panny służącej; na arfie zaś, na której nawet król Dawid grywał, brzdąka tylko jednooka Zemfira w lichej kawiarence na Gołębiej ulicy. Za to fortepian kosztuje najmniej dwa tysiące złotych, nauczyciel do niego rocznie tysiąc w przecięciu, i to przez lat przynajmniej dziesięć, to już mamy dwanaście tysięcy, nie licząc nowego fortepianu, który panna koniecznie dostać musi w wyprawie (a za to tyle mniej koszul i przescieradeł). Jak widzimy, dość to jest znaczny kapitał, umieszczony nie tylko bez procentu, ale i na wieczne nie oddanie; cóż jeśli dodamy do niego egzercycye, trwającą dziennie najlepszych godzin kilka, przez które tyleby uszyć można, tyle przeczytać, tyle się nauczyć!

Więc cóż, czy nie lepiej dawniej było? Ha! cóż robić, kiedy inaczej być nie może. Nawet doprawdy i gorzej bywa.

Właśnie oto, przez czas kiedysmy to wszystko obrachowywali, czy dacie wiare, że przybył Mani jeszcze jeden talent nowy? Jakże, czyż nikt dotąd nie zwrócił na to uwagi? toż ona ma głos zachwycający! dalejże znowu głos ten kształcić. Właściwie zaś, nie tylko głosu ona nie ma, ale nawet ucha; gdyby bowiem głos miała, czyżby to był głos wołającego na pustyni, która się coraz skrzętniej w koło niej urządza? gdyby zaś ucho miała, czyżby sobie samej głosem podobnym śpiewać nie zabroniła?

I wyobraźcie sobie: co się nawet pokazało. Kiedy ją na wieczory prowadzić zaczęto, młodzież jednogłośnie uznała, że ona nie w takt tańczy. Jakże? osoba tak wysoce muzykalna, tak odważnie atakująca fortepian, tak rozgłośnie śpiewająca, tak gotowa do popisu, choćby w obecności Jenny Lind lub Liszta? To być nie może. Przypatrzcie jej się przecie na koncertach, na operze. Jak ona tam surowo sądzi, z jaką pewnością wyrokuję. Doprawdy, sam



nawet Janio świetniejszym krytykiem nie bywa.

A cóż na to wszystko Janio tymczasem? Janio z trzeźwymi swemi poglądami, w obec Mani, rzecz dziwna, bardzo rezon stracił. Zaimponowała mu, podbiła go, zhołdowała, oślą. On, już, już, o włos, że się w niej nie zakochał. Tak jest, ten duch nie podległy, dzielniej jeszcze od klawiatury pod jej paluszkami skruszał. Tak jest, śpiew tej czarodziejki, zagłuszać w nim począł nawet sumienie krytyczne, do wysokiego stopnia niezłomne, jak wiemy.

— Trafił swój na swego, powiecie. Otóż nie. Mania na niego ani zważa. — Któżby tam Jania takiego brał na seryo! tak powiada. O moja pannol! a redaktor *Drogowskazu przyszłości*?

Tylko, że niestety, czyż nieszczęście przyszło kiedy samopas? i czyż to człowiek nie bywa podobny do Anteusza, którego byles raz oderwał od ziemi, już po nim? Tedy doprawdy stało się, że dnia pewnego Janio, ten po raz pierwszy w życiu oślony Janio, na podobieństwo Archaniola pychy w otehłań strącony, nie raz, ale nawet dwa razy kark skręcił. Bowiem zaledwie Mania ów sąd niewczesny o nim wyrzekła, aliści w *Drogowskazu przyszłości* zjawia się jednocześnie artykuł jego, mocno przez redaktora nadpsuty. Janio do redaktora z wyrzutem, a redaktor go z góry (miał już do krytyki innego, który właśnie tylko co na wydział farmaceutyczny bardzo chwalebnie był wstąpił). Od słowa do słowa, mocno się pogryzli. Skutkiem tego, w następnym numerze ukazało się sprostowanie ze strony redakcyi, zamieszczające rzeczony artykuł jota w jotę jak został podany, to jest z mnóstwem ortograficznych bąków, a także z zastrzeżeniem sprawdzenia rzeczy na miejscu, ktoby sobie życzył. Ząd skandaliczny rozgłos, bardzo przydatny Drogowskazowi, ale wielce zabójczy dla Jania, który też z tego powodu uczuł potrzebę wyjechać na czas jakiś na wieś do jednego z kolegów.

Tam zaś pobytwszy nie długo (jeszcze złe, któreby nie miało następstw dobrych?) tam, o pociecho! odkrył zdumiony, że się bezpotrzebnie tylko na trudne talenta wysiłał, mając wrodzoną zdolność do tylu łatwiejszych. Któż bowiem na całą okolicę gra tak jak on w gierłasza, lub w bezika? Kto ma taki szyk nieskazitelny? taką minę gęstą? kto tak obiad zadysponować potrafi, lub polowańko urządzić.

— Ten Janio serdeczny, patrzcie go! toż to koleżka dawny, bursz zawołany! Za kołnierza on nie wyleje, przy kieliszku jak z nut improwizuje, w tańcu pierwszy przewodzi, teatru amatorskie urządzi, sam w nich gra do upękania, umie mnóstwo najpocześniejszych piosenek, (nawet francuzkich!), pełno sztuk à la Bosco, przy fortepianie jak kos gwizdże, udaje kogo zechce, nawet brzuchem gada! A przytomny kanalia, a dowcipny, a zdolny! Proszę tylko, co to za pamięć! czego on nie umie? A jak opowiada, ba, żeby tylko chciał spisywać to wszystko! No, jednym słowem, to jest chłopak *do wszystkiego*.

Ojcu serce rośnie. Janio ma przyjaciół, Janio ma szczęście do ludzi, wrywają go sobie, karmią, poją, pożyczają mu pieniądze. On coraz rzadziej oddaje, no, ma wydatki, choć na ich opędzenie kieszonk ojcowska pracuje jak może, nareszcie nawet nad swoje siły. Ale nie. Chłopiec się wyrabia, a nuż się on bogato ożeni? — Tylko się nie spiesz kochanku, powiada matka, ty weźmiesz nawet miliony. — Czemu nie? o! i owszem. Tylko, ojcie kochany, dawajno jeszcze i jeszcze. — Ojciec stękać zaczyna. Ale Janio w cztery oczy z matką się rozmówił, zaklął się, zaprzysiągł i wygrał sprawę.

Nie dziwnego, chłopiec w coraz szerszy świat wchodzi, stosunki robi coraz wykwińtniejsze, jak mu tu na wydatki żałować? Janio z hrabiami się zapoznał, z jednym się nawet już *tyka*. Wprawdzie do tego koń mu wierzchowy nieodzownie jest potrzebny, a tu ojciec jak na złość pieniędzy w tej chwili nie ma. Złożyły się ciotki i kupiły konia, babka sprawiła Janiowi batystowe koszule.

Janio na wyścigach przez płot skacząc, o mało karku nie skręcił, ha! ale książę Parmenion przysyłał codzień dowiadywać się o jego zdrowie; a także krawiec, fryzjer, szewc, oraz właściciel wagnerek, ale ci to już tylko troszcząc się o swoje należności. Matka nic już mężowi nie mówiąc, zastawiła swoje kosztowności i zaspokoila co mogła, na resztę dając rewers.

I opłaciło się to jako żywo, gdyż, o radości! Janio do zdrowia przyszedł, i o większa jeszcze! Janio za granicę wyjeżdża. Nic go to nie będzie kosztowało, bierze go z sobą, nie mogąc żyć bez niego, przyjaciel jego baron Ulfilas, ale zawsze, jakże tak na cudzej łasce? tego...

Ojciec się zafrasował. On żadną miarą nie dać nie może, w coraz jest gorszych interesach.

— Jaktó? czyżby podobna?

Janio wyściaskał matkę, wycalował ciotki, babce nagał tyle śmiesznych rzeczy! Złożyły się jakoś, zapożyczyły, no niech się tam przeciw Janio wstydzic nie potrzebuje.

E, on się tam łatwo nie zawstydzi. Bo oto, zaledwie dni parę od jego wyjazdu, aż tu przychodzić zaczynają różni ludzie z weksłami Jania. — Jaktó? kiedy? co? jak? — A, różnemi czasami, na najrozmaitsze summy. Prosimy płacić, bo to pod przymusem. — Zgrzył się stary. — No, ktoby się spodziewał! Ale to nie Janio winien, to koleżkowie kochani. Choć koniec końcem zapłacić trzeba, a zkąd tu wziąć? — Zebrał ostatki mienia, żonie zabezpieczył cośkolwiek, zapłacił natrętów i sam został z niczem. Począł się starać o jakie zajęcie, ale nie znaleźć nie mógł.

Tedy z ciężkiej troski, przy nie tęgim i tak już zdrowiu, zapadł na tyfus i umarł.

Jak tu Jania zmartwić podobną wieścią, kiedy on właśnie jak pisze, wygrał w Homburgu kilkadziesiąt tysięcy franków? I także, gdyby się był stary na tamten świat nie pospieszył, wszystko byłoby poszło jak z płatka...

Jeszcze się nad tem namyśla matczyśko, kiedy oto znów przychodzi list od Jania. Tą razą z Paryża już, i to z Clichy. Biedaczysko! uwieziony jest za długi! Ach! mój Boże! za nędzne jakieś dwadzieścia tysięcy franków? Ależ przedewszystkiem wyswobodzić go trzeba, toż to już jedyna pociecha!

Złożono walną naradę. Matce zostanie jeszcze dożywocie, a ciotki jakoś sobie radę dadzą. Sprzedano tedy co jeszcze było, dołożono jakieś ostatki i posłano. Jedna z ciotek za guwernantkę poszła, druga wstąpiła do klasztoru, trzecia założyła sklepik z wiktuałami i wzięła do siebie babkę.

Nareszcie wraca upragniony Janio. — A! chwala Bogu, jakże zmężniał, jak wypiękniał! O, to musi mieć szczęście do kobiet! Ma się rozumieć. Onby teraz na Manię ani spojrzal.

Mania jednak taka wymagająca!

Choć znowu i dziwić się trudno. Bo czyż jej nie powiedział hrabia Heliotrop, że mu ona *dużo* przypomina pannę Szejder?

Ten hrabia długo dosyć włóczył się za Manią po mieście, mając gwoździć w dziurce od guzika, jeśli szedł piechotą, wzrok zaś w niebo utkwiony jeśli go spotkała w dorożce, trzymającego nogi na kołnierzu dorożkarza. Chodził też pod jej oknami, i nawet raz przez stróża doręczył jej bilecik miłosny, o co się mocno rozgniewała. Ale przestała się gniewać, jak raz wypadkiem, siedząc koło niej na ławce w ogrodzie Saskim, ni ztąd ni z owąd zrobił znajomość z jej matką, i odprowadziwszy te panie do domu, zaproszony, począł bywać coraz usilniej, a także towarzyszyć Mani gdzie się pokazała. Zaraz tedy wieść gruchnęła, że się o nią stara, i byłoby może do tego przyszło, gdyby nie nazbyt popędliwe wystąpienie ciotki Pulcheryi, która go wręcz kiedyś zapytała o jego zamiary. Poprzednio też ciotka ta sama (którą już znamy z tego, że nie przyznawała Mani talentu do muzyki), odmówiła w jej

imieniu pewnemu obywatelowi ziemskiemu, twierdząc potem przed znajomymi, że to była partya milionowa. Naprawdę zaś, szlachcic ten był wdowcem podziłym, mającym czworo dzieci w wieku samej Mani. Mania zaś od siebie znowu dała odkosza dyrektorowi kolei, z czego także mocno się szczyścić lubi. W rzeczywistości jednak młodzieniec ów, dopiero coś w dziesięć lat później dyrektorem został; naonczas był sobie dopiero sekretarzem w biurze zarządu. Dosyć jednak powiedzieć, że odszedł z kwitkiem, podobnie jak jego poprzednik, a wszystko to dla hrabiego się zrobiło, choć, jak wiemy, bezowocnie.

W następstwie, widmo onego hrabiego, acz już z horyzontu znikłe, długo jeszcze odstraszało zalotników, a po części, wyznać trzeba i Mania sama, swemi czubatemi pozory i wielce zaczepną polityką.

Któż jej bowiem nie spotkał gdziekolwiek (wszędzie jej pełno), i czyjej ona nie zwróciła uwagi? Doprawdy, nie można jej przyznać przyzwoitej powierzchowności, i trudno się dziwić rygorystom, którzy znajdują, że Mania półświatkiem trąci. Naprzód do najwyższego stopnia mody przesadza. Kostium nosi tak podkasany, stanik tak wycięty, buciuki tak wyzywające, zapasy włosów na głowie tak potworne, że zdumiony, spostrzegasz nie jedną boginię błędną, o wiele od niej skromniej ozdobiłą. Za nadto także czarnobrewą ci się wydaje, czasem też zbyt idealnie białą, lub za gwałtownie świeżą. Cóż dopiero kiedy ją w towarzystwie ujrzysz, wabiącą ku sobie, otoczoną, strzelającą błyskawicami oczu, najwięcej ze wszystkich zajmującą miejsca, sobą tylko zaprzątniętą; kiedy posłyszysz jej rozmowę, trzpiotową, wścibską, złośliwą, przy której (z powodu ząbków białych) nieustannie się śmieje, czyż nie pomyślisz sobie naiwnie, że to wszystko brak wychowania? A to tylko, taki sobie szyk rezolutny, cechujący domowe bożyszcze, przed którym od urodzenia na kłęczkach palono kadzidła.

Nareszcie przypuszcmy, że przy śmiertelnej obawie pozostania starą panną, koniecznie kogoś uwikłała, opętała, i już nie puściła. Tedy sromotna jest biada człowiekowi onemu. Bowiem nie z jedną Manią on się ożeni, ale i z jej mamą, i ze wszystkimi jej ciociami, babkami, kuzynkami, koleżankami, przyjaciółkami, nawet z ulubioną starą papugą, której jednak nie przeżyje, a która bez ustanku nad uchem skrzeczyć mu będzie: Mania ładna! Mania gruczna! Mania pięknie gra! Mania z taktem tańczy! Mania ma białe ząbki! Następnie, bardzo często usłyszysz: że żona jego mogła być obywatelką, dyrektorową kolei, a nawet hrabiną, że w niczem jej się sprzeciwić nie należy, bo jest nerwowa, owszem we wszystkim jej dogadzać trzeba, gdyż jest wątłą i niepowszednią. Mania zaś, same tylko sobie podobne pociechy na świat wydawać będzie, i te wychowa tak jak ją wychowano, to jest w tradycjach fortepianu i usiłowań wokalnych, a także zamaszystego szyku, przy którym ojcu nawet we własnym domu ciasno będzie.

Albo też znowu, dajmy na to, przebierając i rozdając kosze, sama nareszcie na koszu osiadła. Tedy matka jej, nie wytrzymawszy tej kłęski, w suchoty wpadła i umarła. Ale Mania i bez niej da już sobie radę na świecie. Jakoż niebawem poróżniła się z ciotką Pulcheryą (zawsze jeszcze o hrabiego, choć pokazało się później, że on nie bardzo był hrabią), i oświadczywszy, że się bez jej rad obędzie, (choć zapewne nie bez jej zapisu), urządziła dom ojcowski na stopę jeszcze gwałtowniej postępową niż to wprzód miało miejsce. Odtąd, jeśli w martyrologii męczenników kiedy zabrakło, śmiało tam wpisze ojca *pociechy rodziny*. Człowiek ten bowiem niegdys i dość zdolny, i trochę samoistny i nieco nawet rozsądny, stopniowo osowiał, zgłupiał, i stał się automatem, z którego całej osoby potrzebne jest jedynie prawe ramię, do prowadzenia



córki gdzie ona tylko wskaże. Gdyż podobnie jak wprzód, wszędzie Mani podostatkiem jest, gdzie jej i nie posiejesz. I im pełnoletniejsza, tem staranniej wykrochmalona, wyrurkowana, wydetą, szeleszcząca, w kwiatki strojna i wstęgi, snuje się po przechadzkach lub trzpieczone na wieczorach, podobna ćmie rozespanej, która bez świecy rady sobie dać nie może, przy świecy zaś koniecznie się poparzy i oklapnie.

I jakże dużo przytem o równouprawnieniu kobiet rozprawiać lubi, z jaką to robi zawziętością, z jaką goryczą! I wy się temu dziwicie? A ja wam powiadam: jakbądź niegdyś Adam i Ewa jedno i to samo w Raju broili, los przesładowca zawsze był i jest pobłażliwym dla brzydszego rodu ludzkiego połowy. Nie przeczę, Mania jest mało pożyteczna, nawet nie prawie, za dużo siebie kocha, za mało drugich, jest próżna, wymagająca, zazdrosna, opryskliwa, kapryśna i co tylko chcecie, — a jednak wiercie mi, miewa ona gorzkie chwile; bowiem w dzieciństwie i w młodości w taki sposób wkładano ją do życia, jakby w niem nigdy nie miała doznać przeciwności. Jednym słowem, wyręczano ją w cnotach domowych, ułatwiano jej obowiązki, myślano za nią, kłaniano jej się w imieniu świata, a świat tymczasem nie a nic o tem nie wiedział. Bo już to taki on samolub. Dla tego, łatwo pojąć: że Mania coraz rzadziej jest wesoła, owszem, coraz częściej się zamysła, a nawet niekiedy płacze...

Za to przypatrzmy się Janiowi, czy to on ma kiedy jakie zmartwienie? Boże uchowaj. Inni pod wozem bywają, on zawsze siedzi na wozie. Wprawdzie na cudzym, no tem pewniejszy jest swego; jeśli się jeden z pod niego usunie, on czasu nie tracąc czem prędzej przesiada się na drugi. Wyraźniej mówiąc, Janio żyje jak ptacy niebiescy. Ani on orze, ani sieje, ani bronuje, drudzy go w pracy wyręczają, on tylko zbiera i używa. A jak używał! O! to jest człowiek, który umie żyć z szykiem, który i drugich nauczył, ale zawsze tylko ich kosztem i to nie małym. Ale on taki *wyborny*, ktoby mu tam czego żałował? — Kochany Janio, ten serdeczny Janio! — ten pocziwy, złote serce do rany go przyłożył! — powiadają.

Choć on, jako żywo, nigdy nic nikomu nie dał, owszem, wziął od każdego i nie zawsze podziękował; bo jak tu nie brać? swojego zabraknąć może, ale cudzego nigdy. Doświadczenie go tego nauczyło. Wziął już zkaż mógł. Drogie cioteczki powyciskał jak cytryny, kochanego wuja porządnie zarwał, imiennika jakiegoś pod pozorem pokrewieństwa uczciwie oporządził, — a! matusia najmilsza ma sobie jeszcze dożywocie. Jak ją zaczął tedy kochać serdecznie, jak zaczął bawić, pod niebiosą wysławiać, kusić, passyansów nowych uczyć, tak ją namówił, że sprzedała swój dochód, i nawet wymienił się stało, bo i tak niebawem umarła, w szpitalu wprawdzie, ale do ostatniej chwili błogosławiąc jedynaka.

Janio dla tonu stosownego ma niby zawsze jakiś majątek, gdzieś, coś, w dzierzawie, tam, owdzie, czasem niby jedzie odebrać jakiś spadek, tu jak na złość nie nadeszło mu spodziewanych pieniędzy, tam znów ma sprawę do wygrania...

W pośród tych zajęć ważnych, jedną razą ożenił się i to nawet nie bez posagu. Żona, pocziwości cięlatko, ubóstwa go, podpisuje co on tylko zażąda. Janio bawi się, trochę i żona przy nim, aźci jakoś zjadł się ów posag. Co tu robić? Żona szwalnię zakłada, czy magazyn, ale nie bardzo to jest świetne utrzymanie, więc się z nią Janio rozstaje. Powoli: z pracy, z trosk, z płacenia długów mężowskich, zmarnowała się kobieta i umarła, w przekonaniu, że tylko tyle szczęścia zaznała, ile w pożyciu z drugim Janiem. Zostały dzieci, ktoś je tam z łaskawych powychowywał i także adorują ojca, będąc pewne, że matka nigdy go dostatecznie ocenić nie umiała.

Ale najczęściej Janio się nie żeni. Co mu tam po tem, choćby i posag wziął? kiedy pewniej-

sze cudze kieszenie. Co mu po dzieciach własnych? kiedy on i tak ma dość do czynienia, kształcąc młodzież świeżo na wiat wystrzeloną, ośmielając ją do życia, wkładając do szyku, oswajając z butelką, z zielonym stolikiem i pociskami oczu podmalowanych bistro. Jakoż, wybornie mu się i bez tego powodzi. Kiedy się zdarzy gwałtowniejsza potrzeba, składki się na niego robią. Młodzież na swego zabawnego nauczyciela, koledzy na dawnego wesołego koleżkę, i nareszcie szlachta świętojańska, jako niby na podupadłego współobywatela. To ostatnie stanowisko (acz całkiem legendowe, jak wiemy), wiele mu jest jeszcze pomocnem w zetknięciu z pysznością bankierską, a także z powabami obiadków u bogatych mieszczan. Ztąd nawet garsoni i dorożkarze nie nazywają go inaczej, jak jaśnie panem.

Ale nareszcie, cóż go to dłużej obrabiać? toż go wszyscy znamy. Dzieje mu się tak dobrze jak nikomu. Mina gęsta, wąż w górę, ubranie według ostatniej mody. Nigdy piechotą nie chodzi, a jada tylko u Stępkowskiego, Bocqueta i Bouquerela. Na koncertach, wyścigach, przechadzkach, wszelkich zabawach, widowiskach, znajdziesz go koniecznie. Wieczorem zawsze jest w teatrze, w łożu pierwszego piętra, jeśli nie w pierwszym rzędzie krzesel. Latem jeździ za granicę. Nareszcie już i wykłosał i osiwiłał, a jeszcze go wszyscy Janiem sobie nazywają, i jako żywo Janiem on już aż do śmierci zostanie. — A to dla czego? — Oto bo miała słusność Mania, twierdząc kiedyś, że go ani podobna brać na seryo. — Więc też nawet, skoro raz, po dobrem śniadanku od Stępkowskiego wychodząc, apopleksją trącony padł na schodkach i skonał, to kiedy o tem ktoś powiedział w klubie, hrabia Fifi, jeden z najpojętniejszych jego uczniów, uśmiechnął się tylko i rzekł: — Co? Janio umarł? Czy być może? Szkoła go, taki był zabawny! — Poczem za zdrowie jego duszy wypiuwszy szampa, zapalił dwuzłotowe cygare i począł mówić o czem innym.

Felicyan.

## KORRESPONDENECYJE.

Z Petersburga, d. 7 (19) kwietnia 1873 r.

### II.

Ludność pod względem wieku, stosunków rodzinnych, wyznań, narodowości, stanów i oświaty. — Towarzystwo ruchomej wystawy malowideł. — Dwie tegoroczne wystawy w Akademii Sztuk Pięknych. — Ofiary prywatne na cele naukowe i dobroczynne. — Towarzystwo dla dostarczania nocnych przytułków niezamożnym mieszkańcom stolicy. — Wspomnienie o Koperniku. — Zamiar ogłoszenia drukiem wyjątków z kronik polskich. — Moskiewskie historyczne muzeum. — Użalenie się na kalendarze Warszawskie.

Przy zamieszczeniu w jednym z numerów Kroniki Rodzinnej 1871 r. <sup>1)</sup> statystycznych o Petersburgu wiadomości, zmuszony byłem opuścić, dla braku wiarogodnych materiałów, najbardziej godne wymienienia liczby. Obecnie posługując się ogłoszonymi niedawno przez Centralny Statystyczny Komitet materiałami, mogę przytoczyć kilka ciekawych szczegółów o składzie tutejszej ludności pod względem wieku, stosunków rodzinnych, wyznania, narodowości, stanu i oświaty.

Ludność Petersburga składa się z 667,963 osób: 377,780 mężczyzn i 290,183 kobiet; na stu więc mężczyzn przypada około 77 kobiet. Dzieci ~~zaś~~ płci obojej, do lat 16, liczy się 133,466. Najliczniejszą część ludności — 247,000 osób płci obojej — należy do wieku od lat 15 do 30, zatem 39 mężczyzn i 100 kobiet mają lat od 90 do 100, 3 zaś mężczyźni i 12 kobiet mają więcej niż po sto lat. Panien od lat 16-u liczy się 86,300, kawalerów 119,505, kobiet zamężnych 89,750, mężczyzn żonatych 136,520, wdów 44,613, wdowców 9,406, rozwódek 112, mężów rozwiedzionych 24. Z powyższych liczb widać że na stu mieszkańców

przypada: dzieci 21, panien i kawalerów około 32, kobiet zamężnych i mężczyzn żonatych 34, wdów i wdowców 8. Par małżeńskich, wspólnie mieszkających liczą w Petersburgu 68,000. Około połowy mężczyzn żonatych i około czwartej części kobiet zamężnych mieszkają pojedynczo.

Ludność według wyznań wyraża się przez liczby następujące: Wyznania prawosławnego 557,924 osób płci obojej, protestanckiego 76,831, Rzymsko-katolickiego 20,885 (płci męskiej 11,928 i płci żeńskiej 8,957), Możeszowego 6,654, odszczepieńców (roskolników) 3,138, wyznania machometkańskiego 2,071, ormiano-gregorykańskiego 355 i bałwochwalców-buddystów 2.

Mieszkańcy Petersburga należą do 56 różnych narodowości, z których wymienię liczniejsze: Rosyan płci obojej 566,856 osób, Niemców 46,398, Finczyków 16,085, Polaków 11,157 (płci męskiej 6,635 i płci żeńskiej 4,522), Starozakonnych 6,745, Szwedów 5,077, Francuzów 3,104, Anglików 2,099, Tatarów 1983, Włochów 444; oprócz tego mieszka tu niewielka liczba Turków, Chińczyków, Persów, Arabów i t. d. W ogóle cudzoziemców poddanych innych państw liczy się 21,335.

Przy podziale ludności na stany, rzuca się w oczy ogromna liczba — 207,000 — zamieszkałych tu włościan, którzy stanowią więcej 31% ogólnej liczby mieszkańców. Są to większą częścią rzemieślnicy, służący, wyrobnicy i t. d. Włościan przybyłych z gubernii: Wileńskiej, Grodzieńskiej, Kowieńskiej, Mińskiej, Mohylewskiej i Witebskiej liczy się 6,748, z Królestwa Polskiego tylko 66. Zatem liczą w Petersburgu mieszczan płci obojej 123,267, szlachty dziedzicznej 54,398, szlachty osobistej 40,186, wojska 32,516, kupców 22,333, duchowieństwa 6,113, w tej liczbie duchowieństwa katolickiego 38 osób.

Umiejących czytać liczy się w Petersburgu 366,797 osób płci obojej, t. j. około 55% ogólnej liczby mieszkańców.

Obecnie wymienię kilka wydatniejszych objawów z życia stolicy za pierwszy kwartał roku bieżącego, ale że dla należytego objaśnienia faktów teraźniejszych nieraz do przeszłości odwoływać się trzeba, więc i w niniejszem sprawozdaniu niekiedy do czasów ubiegłych cofnąć mi się wypadnie.

Od dwóch już lat w Petersburgu utworzyło się *Towarzystwo ruchomej wystawy malowideł* w celu rozwinięcia w publiczności zamiłowania ku malarstwu, wspomnienia niedostatku malarzy i ułatwienia zbytu ich utworów. Środki Towarzystwa, którego członkami mogą być tylko malarze, stanowią: opłaty pobierane za wejście na urządzone kilka razy do roku wystawy, oraz pięć procentów odtrącanych od sumy, za którą wystawione malowidła zostają sprzedane. Na pierwszej tegorocznej wystawie wspomnianego Towarzystwa zwróciły na siebie uwagę: portrety pędzla p. Perowa, obrazki rodzajowe — pp. Bykowski, Kramskiego i Klátda, krajobrazy — p. Bogolubowa. Oprócz tego, w miesiącu Marcu, w Akademii Sztuk Pięknych wystawione były obrazy przeznaczone dla Wiedeńskiej wystawy powszechnej. Najwięcej pochwał zdęłały malowidła pp. Sypniewskiego (Uczta weselna), Bończy-Tomaszewskiego (Rosa), Charlamowa (Lekcya anatomii), Gruzinińskiego (Górale Kaukazy) i kilka innych. Od sztuk najwłaściwsze przejście do nauk.

Coraz to częściej słyszeć można o różnych mniej więcej znacznych ofiarach pieniężnych na rzecz oświaty. Na kursa czteroletnie połoźnictwa dla kobiet w r. 1871 przy tutejszej akademii medycznej urządzone, panna Lidia Rodstwienna córka pułkownika, ofiarowała 50,000 rs. Ostatniemi czasy, kupiec Aleksander Kudinow złożył zwierzchności naukowej 14,000 rs. na urządzenie kilku stypendyj przy uniwersytecie petersburskim i gimnazjum astrachańskim. Dobroczynność prywatna nie ma-

<sup>1)</sup> Patrz Nr. z 1-go Października 1871 r. str. 10.



ło się przyczynia i do utrzymania tutejszych ochronek dla dzieci. W 20 ochronkach wychowuje się 3,830 dzieci, na jakowy cel z prywatnych ofiar, oraz z urządzania loteryi, balów i koncertów otrzymuje się na rok około 112,000 rs., nadto 11,000 rs. wypłaca się ze skarbu.

Do rzędu przedsięwzięć dobroczynnych, zasługujących na powszechne współczucie, zaliczyć należy nowo-założone w Petersburgu *Towarzystwo dla dostarczania nocnych przytułków* niezamożnym mieszkańcom stolicy, którzy nie mają własnego schronienia. Pani Julja Zasiecka jest główną dźwignią dobroczynnego tego stowarzyszenia, składającego się obecnie ze 130 członków, stale opłacających pewną kwotę pieniężną, nie mniej 1 rs. na rok. Dnia 25-go zeszłego marca otwartym został przez wspomniane Towarzystwo pierwszy nocny przytułek na 77 osób różnej płci, wieku, stanu i narodowości. Za opłatą 5 kop. można mieć w tym przytułku wygodny nocleg (w cieplej izbie z czystą pościelą) i kubek *sbite-niu* (woda przegotowana z miodem i korzeniami), z kawałkiem chleba. Oprócz tego Towarzystwo wskazuje swoim klientom miejsca, gdzie można otrzymać robotę i ułatwia im uzyskanie paszportów.

Z powodu czterechsetletniego jubileuszu urodzin Mikołaja Kopernika, wszystkie prawie tutejsze pisma czasowe zamieściły w swych szpaltach wspomnienie o wielkim tym człowieku. Pozwalam sobie przytoczyć tu wyjątek z artykułu ogłoszonego drukiem w jednym z numerów najbardziej rozpowszechnionej gazety rosyjskiej „Golos”.... „Sprzeczki o narodowość Kopernika przypominają nam spór siedmiu miast starożytnej Grecyi o miejsce urodzenia Homera. Jakkolwiek sława Kopernika i zasługi jego są wielkie, wszelako nie mógł on być jednocześnie polakiem, czechem i Niemcem. Przodkowie jego jeszcze w XIV wieku przenieśli się z Czech do Polski. Dziad Kopernika w roku 1396 stał się obywatelem Krakowa, a w roku 1439 — Lwowa. W polskim mieście Krakowie urodził się w roku 1420 ojciec znakomitego astronoma, Mikołaj Kopernik, sam zaś astronom — również Mikołaj Kopernik — urodził się 7 (19) lutego 1473 roku w polskim także mieście Toruniu. Nazywanie polaka czechem dla tego tylko, że przodkowie jego przenieśli się do Polski z Czech, jest również niesłusznym jak uważanie urodzonego w Toruniu za Niemca, z tej jedynie przyczyny, że miasto to, *po upływie lat 300*, zostało wcielone do monarchii niemieckiej. Wszyscy zawsze uważali Kopernika za polaka i sam on polakiem siebie nazywał. W Polsce on się urodził, wychował, mieszkał i umarł. Z Niemców: Wachler, Humboldt, Fejebach, z Francuzów: Arago, z Włochów: Gilini, Tiraboski, krótko mówiąc — wszyscy wykształceni ludzie całego świata uważali Kopernika za polaka. W literaturze angielskiej niema ani jednego dzieła, w którymby fakt ten był zaprzeczany. Za polaka zawsze uważała Kopernika i Rosya. Na wzniesionym mu w Warszawie w roku 1830, za panowania Cesarza Mikołaja I. pomniku położono następujące, pełne historycznej prawdy, napisy:

- 1) „Nicolao Copernico grata patria.”
- i 2) „Kopernikowi wdzięczni rodacy.”

W innym znowu miejscu „Golos” gorzko wyrzuca Petersburgskiej Akademii Nauk, że w chwili, kiedy całe dziennikarstwo rozpamiętuje zasługi wielkiego myśliciela, Akademia nie uczciła jego pamięci ani jednym słowem.

Ze wszystkich tutejszych uczonych stowarzyszeń najżywniejszym jest Towarzystwo Geograficzne, w którym dla każdego pożytecznego przedsięwzięcia zawsze się znajdują pracownicy i pieniądze. Za jeden z dowodów tego twierdzenia może służyć wiadomość, że na odbytem 29 stycznia r. b. posiedzeniu Etnograficznego Wydziału wspomnionego Towarzystwa, uchwalonym został wniosek członka p.

Hiltebranda o ogłoszeniu drukiem, w językach rosyjskim i polskim, zbioru etnograficznych wiadomości, wyjętych z kronik: Długosza, Miechowity, Cholewy, Kadłubka, Kromera, Wapowskiego, Starowolskiego, Bielskich, Strykowski, Piaseckiego i innych. Wiadomo, że niektóre z tych kronik stanowią dzisiaj bibliograficzną rzadkość, każdy więc choćby częściowy ich przedruk wielce jest pożądanym.

Z Moskwy znowu dochodzą wiadomości, że tam obudza żywe zajęcie niedawno urządzone *Muzeum Imienia Cesarzewicza*, którego ustawa w dniu 3 stycznia r. b. uzyskała zatwierdzenie Rządu. Założone w celu dotykającego przedstawienia głównych epok dziejów państwa Rosyjskiego, muzeum to zgromadza ważniejsze historyczne pomniki, tyżące się religii, prawodawstwa, nauk, literatury, sztuk, rzemiosł i przemysłu. Najważniejsze epoki i najświetniejsze historyczne postacie przedstawione będą za pomocą malowideł i utworów snycerskich.

W końcu pożalić się muszę na te kalendarze warszawskie, które zbyt niedbale redagują dzieła świąt kościoła rzymsko-katolickiego w Cesarstwie, co niedogodnym jest dla zamieszkałych tu katolików. Tak na przykład, według kalendarza *Popularno-Ziemiańskiego* na rok 1873, wielki post miał tu trwać przez 5½ (zamiast 6½) tygodni, stosownie zaś do wstawienia *Kalendarza Rodzinnego*, za rok 1872, przeszłoroczny post powinien był przeciągnąć się do 8½ tygodni! Takie grube omyłki nie wzbudzają ufności i ku innym działom tych kalendarzy.

Artur Dolński.

#### Z Rzymu.

Wycieczka moja do Palestriny, opisana w poprzedzających numerach *Kroniki Rodzinnej* <sup>1)</sup> przedłużając się nad mój zamiar, spowodowała przerwę w rozpoczętem przeszłego roku opisanu zwyczajów ludurzymskiego <sup>2)</sup>. Po załatwieniu interesów i przybyciu do Rzymu, wracając do właściwego przedmiotu moich korespondencyj zaczynam od opisanja zabaw ludowych, zwanych *ottobraty*, corocznie obchodzonych w miesiącu październiku (ottobre), po ukończeniu winobrania. Rozległa przestrzeń terytorium, w obrębie murów otaczających miasto, zaledwie w jednej trzeciej części zajęta jest pod budowlę i place publiczne; pozostałe zaś dwie trzecie części gruntu miejskiego, oraz bliższe okolice po za murami miasta, z wyjątkiem pewnej ilości ogrodów i pastwisk, zepelnione są winnicami, stanowiącymi tu najgłówniejsze źródło dochodów; dla tego też winobranie jest jedną z uroczystości obchodzonych tu ze szczególnym zamiłowaniem.

Przez cały miesiąc październik, każdego czwartku, przed południem, kilkaset dorożek miejskich przebiega główniejsze ulice starożytnych cyrkułów Trastevere, Monti i Borgo, zamieszkałe przez ludność klasy przemysłowej i robotniczej. W każdej dorożce mieści się około 10 lub 12 wesołych plebejanek w stroju świątecznym, młodych i starszych z pomiędzy których 3 lub 4 w roli bachantek, uwiecznione bluszczem i różami, ożywione świątecznym humorem i krasnym rumieńcem, wyspiewują swe ulubione strofki, dźwięcznym i donośnym głosem; niekiedy zaś dwóch lub trzech podochoconych mężów, braci lub przyjaciół, uczepia się po za dorożką, na przytwierdzonej desce, wtórując kobietom energicznym głosem i brzękadłami; co jednak rzadko się trafia, bo zwykle mężczyźni składają oddzielne kompanie.

Ubiór kobiet składa się z długiej sukni, skromnie pokrywającej gors aż po szyję, z wielkiej chustki czerwonawo płomienistej, otaczającej całą kibić, skrzyżowanej na piersiach i związanej końcami z przeciwnej strony. Głowa całkiem odkryta bez żadnej zasłony i ozdoby,

z wyjątkiem śpiewaczek uwiecznionych, jak wyżej powiedziano, bluszczem i różami. Na każdym prawie palcu mają po 4 lub 5 pierścienków, w uszach spore kolczyki w kształcie okrągłych dzwoneczków, a na szyi 3 lub 4 rzędy naszyjników w złote krążki emaliowane, z drobniemi wisidełkami. Niektóre nowości w ubiorach zaczęły się tu wejskać od roku 1848, a mianowicie w ubraniu głowy i kroju sukien; lecz w ogólności nie mogły się upowszechnić między kobietami z pospólstwa. Jedyna tylko zmiana, ogólnie przyjęta, zależy na tem, że przed 40 laty starsze niewiasty nosiły wysokie fiszbinowe grzebienie na głowie, ogromnie w uszach kolczyki, nakształt obręczy, a w spłotach włosów olbrzymie szpilki, niekiedy zaś pokrywały całą głowę jedwabną zieloną siatką; co wszystko, w obecnym czasie należy już do wspomnienia przeszłości i daje się widzieć tylko na dawnych portretach rodzinnych. Większa część kobiet, należących do tej klasy ludu, nie nosi żadnego przykrycia i ubiorków na głowie, oprócz jednej sporej mosiężnej szpilki w splocie włosów; niektóre tylko, wychodząc do domu, osłaniają się od wiatru małą chusteczką. Mężczyźni wszelkich stanów w ogólności przyjęli pospólny strój europejski, dawne zaś ubiory narodowe można tylko widzieć na przybywających tu wieśniakach i góralach z dalszych okolic kraju.

Po objechaniu ulic miejskich, wszystkie te kompanie męskie i żeńskie, udają się za miasto do traktów, czyli oberży, gdzie znajdują przygotowane, na otwartem powietrzu, w ogródkach, na trawnikach lub na dziedzińcach, stoły, usłane liściem winogrodu i bluszczem, otoczone szpalerem z trzciny, na którym porozwieszane są dojrzałe winne grona. Tych jednak przybyli goście nie kosztują, bo już się niemi nasyćili w ciągu winobrania; lecz biorą się raźnie do butelek i szklanek, dla zaostrezenia apetytu. Uczta rozpoczyna się od flaków wołowych, pomieszanych z pewnemi częściami wnętrzości młodego wieprza, a niektórzy smakosze, lubiący mocniejsze przyprawy, wlewają do półmiska butelkę czerwonego wina. Następuje potem indyk, nadziewany kiełbasami, gałeczkami z ciasta i t. p., pieczeń wołowa z gwoździkami, schab barani z nerką, nareszcie paszтет z czosnkiem, pieprzem i sardelami morskimi. Te wszystkie rozpalające przyprawę obudzają w biesiadnikach niepospolite pragnienie, dla ugaszenia którego butelki wina odbywają zwyczajne koleje przy każdej potrawie, a po obiedzie pragnienie się wzmagają, szklanki krążą i wypróżniają się coraz szybciej i gęściej, pomnaża się wesoły humor, publiczność rozprasza się po przyległych dąbrowach, na których uwiecznione bachantki i młodsze dziewczęta rozpoczynają taniec narodowy, przy odgłosie bębenków i brzękadł. Często młodzi mężczyźni przyjmują udział w tym tańcu, przy którym rodzą się w ich zamąconych głowach podejrzenia, zazdrości i nieprzyjaźni, dające powód do przymówek, kłótni i doraźnej szermierskiej rozprawy na sztylceci.

Zdarza się także, przy wyjeździe z miasta owych kompanij, że dorożkarze, mianowicie wiozący mężczyzn, już to z własnej fantazyi, już namowy podochoconej gawiedzi, pędzą na wysięgi, ażeby wyprzedzić swoich towarzyszy i prędzej przybyć na miejsce. Te wysięgi często stają się powodem do zwady i bójki, bo plebejusze tutejsi obraźliwi i pochopni do gniewu, po przybyciu do oberży, wyskakują z dorożek, rzucają się na swoich współzawodników i zaczynają od słów obelżywych, podsycających wródną ich namiętność, wydobytą nareszcie swe nieodstępne noże i padają ranni z jednej i drugiej strony. W tych zawziętych utarczkach szczególnie zwraca uwagę każdego cudzoziemca, że gdy w innych miastach, przytomni podobnym zajściom mężczyźni starają się rozbroić walczących i nie dopuścić do krwawego starcia, to przeciwnie w Rzymie

<sup>1)</sup> Patrz *Kronika Rodzinna* z 15 Października 1872 r. str. 25.

<sup>2)</sup> Patrz *Kronika Rodzinna* z 21 Czerwca 1872 str. 264.



bardzo rzadko się zdarza, ażeby ktokolwiek ze świadków rozpoczętej zwady okazał chęć do pogodzenia zwasnionych, albo przerwania bitwy. Jedynie tylko żony lub siostry walczących, jeżeli wówczas znajdują się na placu boju, rzucają się pomiędzy nich na wzór praprababek swoich, dawnych Sabinek, z najlepszym bezwątpienia zamiarem, lecz niestety ze skutkiem wcale odmiennym; bo gdy dzielny Sabinkom szczęśliwie powiodło się rozbroić i pojednać zajątrzonych wojowników, i zapewnić Rzymowi trwały pokój, to przeciwnie nowożytnym rzymiankom bardzo rzadko udaje się pomyślnie dokonać chwalebne dzieło pojednania. Wprawdzie rzucają się one odważnie jak lwice, dla przerwania boju, lecz wkrótce te pojednawcze zamiary rozpraszają się w obec walczących mężów i braci; duch wojowniczy rozjątrza niewieście serca, i kiedy jedna z nich, na przykład, uchwyci za rękę napastnika, który ranil jej męża lub brata, wtedy żona lub siostra tegoż napastnika pośpiesza lotem błyskawicy, aby go wyrwać z rąk nieproszonej pośredniczki, porywa ją za włosy i stara się odpedzić ukłóciem nożyczek, lub ogromnej szpilki, wyjętej ze splotu włosów, albo też inną podobnego rodzaju bronią z niewieściego arsenału; a tym sposobem krwawa utarczka, rozpoczęta przez mężczyzn, kończy się zwykle w gronie płci żeńskiej, z niemniejszą jak tamta energią, zostawując po sobie, na pamiątkę wesołej uroczystości, sinec, szramy, blizny, i inne zaszczytne, chociaż bolesne oznaki bohaterskiego wystąpienia dzielnych rzymianek w obronie honoru swych mężów i braci. Zresztą niepomny wypadki ostatnich czasów znacznie ochłodziły dawniejszy zapał do tłumnych zabaw i złagodziły zbyt wczesną porywczosć tutejszego pospólstwa do kłótni i junactwa.

Biedniejsi, nie mający środków do połączenia się w jeżdżące kompanie i uctowania za miastem, urządzają sobie pewne gry i zabawy na ulicach, lub w przysionkach i bramach domów. Młode dziewczęta od 15 do 16 lat wieku, z pewnej liczby sąsiednich domów, zgromadzają się w obranem na ten cel dogodnym miejscu, wyjmują z zawiasów wielkie drzwi wchodowe, zawieszają na sznurach w pośród bramy lub sieni, i tym sposobem w kilka chwil urządza się doskonała i wygodna huśtawka, na której zasiada 6 lub 8 dziewcząt; inne zaś, po dwie z kolei, nadają właściwy ruch tej do wciwnie improwizowanej maszyneryi, co w tutejszym dyalekcie ludowym nazywa się *canofiana*. Promotorka tej gry (*capitana*) zajmuje pierwsze miejsce i wybija takt na zwykłym bębnie, otoczonym dzwoneczkami; towarzyszy jej, uwieńczone bluszczem i kwiatami, śpiewają swe ulubione strofki, klaszcząc w ręce i okazując w całej postawie i ruchach ożywiającej ich wiek młodocianny prostoduszną i nieudatną wesołość. Mieszkańcy sąsiednich domów gromadnie zbierają się na tę zabawę, zachęcając śpiewaczki i gwarnie wtórując im na różne tony. Matki przynoszą tam swe małe niemowlątka, powierzając je na ręce uwieńczonych śpiewaczek, ażeby pod ich opieką mogły rozkosznie bujać w powietrzu i dzielić miłe wrażenia tej gimnastyczno-muzykalnej rozrywki. W innych znów miejscach, na placach i ulicach, gromady małych dziewczynek przy odgłosie bębna i bandurki, z dziecinną prostotą i niewymowną lubością oddają się wesołym i skoczynym tańcom, pojedynczo lub złączony w ogólne kółka i girlandy. Chłopcy na wózkach i drewnianych konikach okazują na wysięgi dowody swojej zręczności i odwagi, a gdy który przypadkiem spadnie na ziemię, serdeczne śmiechy i żarty ożywiają wszystkich przytomnych uczestników i świadków zabawy; słowem *ottobraty* stanowią tu najpopularniejszą rozrywkę ludu, każdy bawi się jak może najlepiej, *con amore*, z zupełnym zapomnieniem o troskach codziennego życia, nie myśląc o dniu jutrzejszym.

Wprawdzie ten rodzaj zabawy jest zabyt-

kiem pogańskich świąt bachusowych, podobnie jak karnawał pozostał jako pamiątka dawnych Saturnaliów, lecz pospólstwo, jak wszędzie tak i w Rzymie, nie wchodząc w historyczne badania, po prostu oddaje się swym ulubionym rozrywkom, na mocy dawnych zwyczajów, bez żadnej myśli o Bachusie lub Saturnie, którzy go wcale nie obchodzą. Wiadomo każdemu jaka jest różnica tych zabaw, od dawnych pogańskich uroczystości, a chociaż nie są one tak złe i gorsze, jak starożytnie bachanalie, jednakże osoby, mające pewny stopień moralnego wykształcenia, wcale nie przyjmują w nich udziału, a nawet większa część prostego ludu szuka jedynie godziwej rozrywki dla odetchnienia świeżem powietrzem za murami miasta, dla oglądania zielonej łąki i różnobarwnych kwiatów, oraz przypatrzenia się wesołym i grzyzskom i tańcom młodzieży. We wszystkich krajach posiadających winnice, mają miejsce podobne zabawy, a nawet u ludu izraelskiego, jak świadczą księgi pisma świętego, czas winobrania uroczyste był obchodzony z muzyką, śpiewem i tańcami.

Małżeństwa wdowców z wdowami i innych osób podeszłego wieku, są zwykle przedmiotem hałaśliwych ulicznych demonstracyj, w rodzaju kociej muzyki. Żadne środki ostrożności nie pomogą do zachowania w tajemnicy podobnego małżeństwa, i chociażby nawet obrządek ślubny odbył się w nocy, w zamkniętym kościele, zawsze jednak znajdzie się usłużny wszystkowiedz, śledzący kroki sędziwych oblubieńców, ażeby w porę przynieść pożądaną wiadomość. Właściciele okolicznych domów i handlowców zgromadzają się na umówionem miejscu, każdy z pewnym narzędziem, służącym do wesołej serenady. Kotły, rądle, patelnie, dzwony, łańcuchy, trąby morskie i rogi myśliwskie, połączone z krzykiem, piskiem i gwizdaniem ohocezej gawiedzi, napełniają przeraźliwym i ogłuszającym gromem i trzaskiem wszystkie ulice przez które ten orszak muzykalny przechodzi i budzą ze snu potrwożonych mieszkańców. Cały ten pochód, podobny do oblawy na wilka lub niedźwiedzia, zatrzymuje się pod oknami mieszkania niefortunnych nowożeńców, zmuszonych do cierpliwego znoszenia tej pierwszej próby swego małżeńskiego pożycia. Lud zbiera się gromadnie na to ciekawe widowisko, sąsiedni mieszkańcy wyglądają przez otwarte okna, zapalają światła i wtórują muzykalnym artystom, wykrzykując na całe gardło wiwaty i pozdrowienia nowym małżonkom. Nareszcie, po upływie pewnego czasu, gdy krzykliwa rzesza zadowolni już pierwsze wybuchy swego zapału, zjawia się zwykle urzędnik policyjny, wzywając zgromadzonych *dilettantów*, ażeby się rozeszli i wrócili do swych domów; co też wkrótce przychodzi do skutku, z pewnym ociąganiem się, spoglądaniem po za siebie i niezmysłoną chęcią powtórzenia tej sceny następnego wieczora.

Od pierwszych wieków chrześcijaństwa praktykował się w Rzymie pewny pobożny zwyczaj, zachowywany aż do czasu wprowadzenia ostatnich zmian politycznych, z którymi przerwały się wszelkie ludowe uroczystości, mające religijny charakter. W pierwszą niedzielę Adwentu, przed wschodem jutrzeńki, przybywali tu w znacznej liczbie górale z pobliskich gór Abruzzów, z kobzami i fujarkami, dla odegrania pieśni betlejemskich przed obrazami Matki Boskiej, znajdującymi się na rogach ulic, na domach, w sklepach kupieckich i t. p. Ci potomkowie dawnych Pelazgów, w narodowym ubiorze, ze spiczastym kapeluszem na głowie, ozdobionym różnobarwnymi wstążkami, z długim kędzierzawym włosem, spadającym na plecy, w sandałach przytwierdzonych do nóg taśmą lub rzemykiem, okryci krótkim po kolana płaszczkiem, po przybyciu do wiecznego miasta, stając po dwóch lub trzech przed każdym obrazem, z odkrytą głową i kapeluszem pod pachą, głębokim pokłonem oddawali

część Bogarodzicy i odegrali zwykle staroświeckie melodie, nacechowane patryarchalną prostotą i rzewnem uczuciem religijnem. Prócz tego pasterze z sąsiednich okolic, przechodząc o północy odleglejsze ulice miasta, wśród winnic i ogrodów, na wzór pasterzy betlejemskich głosili chwałę Bożą, grając na piszczałkach swe tradycyjne pieśni. Właściciele kawiarni, winiarni, garkuchni, sklepów handlowych i innych podobnych zakładów, uważali za sumienny obowiązek zapraszać owych pasterzy dla powtarzania każdego wieczora pobożnych pieśni aż do ukończenia świąt Bożego Narodzenia, przed obrazem Madonny, znajdującym się w każdym z takich zakładów, w tem przekonaniu, że zjedną sobie na cały rok błogosławieństwo i szczęśliwe powodzenie.

W dzień św. Antoniego Opaty, 17 stycznia, corocznie odbywała się benedykcyjka koni, wółów i innych domowych zwierząt, zgromadzanych na placu przed kościołem tego św. patrona, dla wyjednania opieki jego przeciwko wszelkim chorobom, przypadkom, kradzieżom i szkodliwym wpływom, oraz dla uproszenia błogosławieństwa Bożego w pomyślnej hodowli i rozmnożeniu koni, bydła i owiec, obfitości mleczywa i zdrowej paszy. Znajduje się w Rzymie kilka tysięcy furmanów, dostarczających miastu cegły, wapna, piasku, kamieni, siana, słomy i różnych artykułów żywności, a także wywożących z miasta śmiecia i gruzu. Są to po większej części ludzie nieokrzesani, zuchwali i grubych obyczajów, skłonni do zwady i bójkki, nieodrodni potomkowie dawnych liktorów, szermierzy i gladiatorów. Niefortunne ich konie, stare, chude i przeładowane ciężarem, codziennie przez cały rok traktowane przekleństwem i plagami, w tym uroczystym dniu doświadczały niezwyklej zmiany w swoim położeniu. Gburowaty woźnica, pomimo grubiaństwa i szorstkości charakteru, miłujący swego konia, wiernego towarzysza ciężkiej pracy, od samego świtu rozpoczął jego świąteczną toaletę; czyścił go zgrzebłem i szczotką, szuwaksował kopyta, uplatął grzywę i ogon w piękne warkocze, zawieszał mu na czole medalik św. Antoniego, nad głowę przytwierdzał czerwoną kietę, a pod uszami kutasy, wkładał mu galową uprząż, ozdabiał różnobarwnymi wstążkami, jedwabną, pasową różą, fręzelkami, kutasikami, dzwoneczkami i mosiężnymi krążkami; nareszcie sam się ubierał w świąteczne suknie, przepasując swe biodra szeroką czerwoną szarfą, zarzucał kurtkę na lewe ramie, wkładał kapelusz, zdobny połyskującymi piórami kapłona, glansowane trzewiki, koleczyki w uszach i zegarek ze srebrnym łańcuszkiem, wiszącym u pasa. Po drodze do kościoła zatrzymywał się w jednym i drugim handelku, dla pokrzepienia się szklanką wina, a po przybyciu na plac kościelny, stawał w szeregu swoich współkolegów, ze świecą woskową w ręku, przeznaczoną na ofiarę kościołowi. Stangreci kardynałów, książąt rzymskich i innych znakomitych panów, przybywali także z całym stajennym kontyngensem, przybranym w paradnej uprzęży, a niektórzy z nich okazywali zgromadzonemu ludowi dowody zadziwiającej zręczności i sztuki, trzymając w ręku cugle 18, 20, a nawet 24-ch dzielnych rumaków, zaprzęzonych do jednego pojazdu, z którym objeżdżali w różnych kierunkach plac i sąsiednie ulice. Przyprawiano tu także konie ze stajni papieżkiej, a po ukończeniu nabożeństwa, kapłan ze stopni przysionka kościelnego dawał solenną benedykcyją wedle przepisanego obrzędu.

Prócz tego Papież, kardynałowie i książęta, rzymscy posyłali w darze kościołowi wielkie świece woskowe, a bogatsi kupcy, mieszczanie, rzemieśnicy, handlarze koni i bydła, ofiarowali połączone świece, ozdobione pięknem malowidłem i różnobarwnymi wstęgami.

W wigilię św. Jana Chrzciciela, 23 Czerwca, w godzinach przedwieczornych, mnóstwo chłopezyków i dziewczynek, reprezentantów każdej



rodziny, zbiega się do parafialnych kościołów, z flaszkami w ręku dla zaopatrzenia się w wodę święconą, mającą służyć, wedle dawnego podania, ku zabezpieczeniu domostwa od zjawiających się w tej porze czarodziejów i czarownic. Około północy wszyscy ojcowie rodzin, i inni poważniejsi wiekiem mężczyźni, udają się na plac przed bazyliką św. Jana Laterańskiego i gorliwie biorą się do spożywania przywożonych w tej porze do miasta ślimaków, mających oznaczać symbol szarańczy, używanej na pokarm przez św. Jana na pustyni; po czem, dla zabezpieczenia się od niestrawności i nocnego chłodu, stosownie do przepisów higieny, częstują się winem, wzajemnie sobie wieszając doczekanej uroczystości. Po ukończeniu tej symbolicznej uczty i libacyi, lubownicy ślimaków rozechodzą się w różne strony, śpiewając zwykle jowialne strofki i zatrzymując się na placach i ulicach, dla przypatrzenia się wschodzącemu słońcu, które w tym dniu, jak utrzymują podania ludowe, trzykrotnie podskakuje na pamiętkę ścięcia głowy św. Jana. Nie wątpimy, że po bezsennej nocy i winnych libacyach, te zajmujące obserwacje astronomiczne przedstawiają spektatorom pożądaną widok w podskokach, utwierdzając w ich przekonaniu powzięte na mocy dawnych tradycji przesady.

Dziwny to nektar, o którym nieśmiertelny Dante napisał:

„Guarda l' calor del sol, che si fa vino,  
„Giunto all' umor, che alla vite cola.”  
(Purgatorio XXV).

W rzeczy samej, wino łączy w sobie własności promieni słońca i tajemniczych sił przyrody, ukrytych w łonie ziemi. Żłociste lub rubinowe krople tego szlachetnego płynu ożywają twórczy zapal poetów, odwagę wojowników i energiczną działalność w wielkich i trudnych przedsięwzięciach. Wino pokrzepia osłabione siły, rozjaśnia umysły, rozwesela przyjacielskie uczty i wlewa słodką pociechę w strapione serca, darząc je chwilowem zapomnieniem trosk i przeciwności ziemskiego życia; słusznie więc starożytność uczciła wino, dając mu honorowe miejsce na ucztach bogów Olympu, pod nazwą niebiańskiego nektaru. Prócz tego wino zostaje w bliskich stosunkach powinowactwa względem nauk umiejętności i sztuk pięknych; bo wiadomo, że z dwóch szczytów parnasu jeden poświęcony jest muzom Apollina, a drugi Bachusowi.

Nie będziemy tu wspominać o wiadomych każdemu skutkach nadużycia tego napoju, i jakkolwiek ułomność ludzka często na złe używa najszlachetniejszych darów Bożych, nie idzie wszakże zatem, ażebyśmy mieli przyganiać w ogólności podobnym zgromadzeniom ludu, jako dającym okazję do nadużycia trunków, bo przy zlej woli popełniają się te nadużycia w każdym miejscu i przy każdym zdarzeniu.

Nareszcie, uzupełniając opis wspomnianej uroczystości, należy tu dodać, że w tymże samym czasie, kiedy starsze pokolenie pod przeważnym wpływem ożywczego trunku, zwraca swe oczy ku niebieskim zjawiskom, badając obroty i podskoki wschodzącego słońca, młodzież wybiega za miasto, dla zabawienia się tak zwanem *zbiowaniem rosy*. Każdy zdejmując obuwie, biega posuwistym krokiem po zroszonej trawie, ażeby w ten sposób zabezpieczyć się na cały rok od kataru i innych podobnego rodzaju dolegliwości.

Każdy lud ma swoje zwyczaje i zabawy, a czując potrzebę przerwać niekiedy swe monotonne zatrudnienia i codzienne troski, z upodobaniem oddaje się gwarnym i wesołym rozrywkom. W czasach pokoju i pomyślności zabawy te gromadniej i serdeczniej są podzielane przez masy pracowitego ludu, odznaczając się prostoduszną i nieprzymuszoną wesołością, z zapomnieniem wszelkich utrapień i przeciwności ziemskiego życia; lecz w czasach niepokoju i zaburzeń politycznych, niepewność obe-

anego położenia, troska o przyszłość i uszczuplenie materialnych środków dobrobytu, pobudzając każdego do poważniejszych myśli, odejmują chęć do zabawy, a zwyczaje narodowe, z postępem czasu zacierają się i prawdopodobnie w przeciągu lat kilkunastu pójdą w zapomnienie, jak tyle innych dawnych zwyczajów, których pamiętka przechowała się jedynie w historycznych opisach.

X. S.

## KRONIKA RUCHU NAUKOWEGO

### II.

Rzut oka, na ostatnie postępy Geologii i na obecne stanowisko tej nauki.

Geologia zapoznając nas z massami, składającymi korę naszej ziemi, celem rozwiązania licznych i ważnych zagadnień, blizkie zawiązać musiała stosunki, ze wszystkimi prawie gałęziami wiedzy przyrodniczej; posługując się zaś światłem mineralogii, botaniki, chemii, zoologii i fizyki, wzajemnie oddziaływała na nauki pomocnicze i przyczynia się do ich wzbogacenia. Mając za zadanie, przedstawiania ruchu w dziedzinie przyrody, nie możemy pominąć geologii, ze względu na ważny jej wpływ na inne gałęzie nauk przyrodzonych, jakoteż na blizkie jej stosunki do społeczeństwa ludzkiego. Podjęte w ostatnich czasach rozprawy, o początku naszego rodzaju, i dziś jeszcze na porządku dziennym pozostające, rozprawy w których pytania geologiczne co krok prawie potrącane zostają, zmuszają nas niejako do zwrócenia uwagi, na obecne stanowisko naszej nauki. Wpierw jednak niech nam będzie wolno w krótkim historycznym poglądzie, spojrzeć na losy tej umiejętności, na fazy jej rozwoju, aby lepiej zrozumieć, jasniej sobie uwydatnić pytania, któremi zająć się mamy. Pomijając hipotezę francuzkiego astronoma i matematyka Laplacea o powstawaniu światów, przejdziemy od razu do faktów ściślej oznaczonych, i łatwiej dostępnych dla naszego badania. Główne podwaliny geologii jako nauki ściślej położył przed 100 laty, Niemiecki uczonej Werner, pierwsza bowiem i jedna z ważniejszych prac jego mineralogicznych, o zewnętrznych oznakach skamieniałości, wydana została na widok publiczny w 1774 roku. Następnie powołany na Profesora Akademii Górniczej w Frejbergu, Werner od 1780 roku znakomitą rozwinął działalność, już to jako pracowity i samodzielny badacz, już to jako wymowny i porywający młodzież nauczyciel.

Metoda badania naszego uczonego wprowadzona w życie usilną jego pracą, stanowiła ważny postęp w dziedzinie mineralogii, a dalsze jej wykształcenie postanowiło Akademią Frejbergską, na czele owoczesnej wiedzy mineralogicznej. Spożytkowanie rezultatów osiągniętych przez Wernera w mineralogii, zastosowanie tej samej metody badania do geognozji, umożliwiły rozwój geologii. Werner oznażył wszelkie skały krystaliczne, skamieniałości nie zawierające, i najniżej czyli na samym spodzie spoczywające, jako skały pierwotne czyli zasadnicze, następnemu zaś szeregowi osadów nadał miano skał czyli pokładów przechodowych. Późniejsze na skałach przechodowych położone pokłady, nazwane zostały drugorzędnymi, dalsze zaś trzeciorzędowymi. Pokłady zaś czwartorzędowe, należące już niejako do tradycyi człowieka, obejmują osady czyli napływy dawne, zwane diluwialnymi, i nowsze czyli aluwialne. Werner zakończył życie w 1817 roku, a opuszczając pole swej działalności zaszczytny został uznaniem współczesnych, i otoczony wdzięcznością licznych swych uczniów rozproszonych po całej prawie kuli ziemskiej. Jakkolwiek uczonej Niemiecki nie ogłosił obszernego i wyczerpującego dzieła, nie mniej jednak wywarł wpływ znakomity, przez swe lekcye uczęszczane w ciągu lat 40-tu przez młodzież z całego prawie ucywilizowanego świata; do szczególnych zaś zasług policzyć mu należy dar pociągnięcia swych uczniów i wzniesienia w nich zapa-

łu, do nowej a trudnej nauki. Wzbudzony przez Wernera ruch zachęcił do dalszych poszukiwań, a jeżeli dzisiaj zbadawszy wysokości gór, piętzące się do wysokości 24,000 stóp nad poziom morza, zagłębiwszy się do 3,000 stóp, wewnątrz ziemi, wzbogaciliśmy naszą umiejętność nowymi faktami; jeżeli jesteśmy w możności przedstawienia sobie pewnego obrazu budowy ziemi i sił przy jej powstawaniu działających, to w znacznej części zawdzięczamy to Professorowi z Frejberga, któremu słusznie się należy zaszczytne miano ojca Geologii.

Po śmierci Wernera, Geologia najbystrzej rozwija się na ziemi angielskiej, wzrost przemysłu zmusza do coraz ściślejszych poszukiwań bogactw kopalnych, szczególnież też pokładów węgla kamiennego, w łonie ziemi ukrytych; poszukiwania zaś pod przewodnictwem ludzi nauki przedsiębrane, dostarczają obfitych materiałów do wzbogacenia naszej umiejętności. Zarysy Geologii Anglii i Walii wydane w 1822 r. przez Conybeare i Philipsa przedstawiają systematycznie układ formacyi napływowych, aż do skał przechodowych, według układu Wernera, z porównawczym poglądem na podobne formacie wykryte w innych krajach stałego lądu. Jednocześnie wydana na widok publiczny karta geologiczna Anglii przez Greenough'a, uwydatnia nam metodą graficzną tamtoczesny stan wiadomości geologicznych, a zarazem staje się bodźcem dla innych narodów, przedstawiając im przykład godny naśladowania. Powoli po usunięciu niezliczonych trudności, jakie wykonanie podobnej karty przedstawia, trzeba bowiem prawie krok za krokiem śledzić za każdą warstwą; wykonaną została przez Bacha karta geologiczna Niemiec, przez Hoffmana karta północo-zachodnich części tego samego kraju; Saksonia zawdzięcza podobną pracę pp. Naumann i Cotta, Francya Eliaszkowi de Beaumont i Dufrenvy, a my Puszowi i Zejsznerowi.

Szczególniej przy opracowywaniu kart geologicznych, przekożono się o konieczności najrozmaitszych uciążliwych badań i poszukiwań przechodzących siły jednego człowieka, badań które dopiero połączonymi siłami wielu specjalistów, pod jednym pracujących kierunkiem, systematycznie przeprowadzone być mogły. Z tych powodów, wmięszanie się rządów stało się nieodzownem, a założenie rządowego geologicznego Instytutu w Anglii (Geological Survey) Cesarskiego Zakładu Geologii w Wiedniu (kk. Geologische Reichsanstalt) ustanowienie w każdym prawie Stanie Ameryki Północnej osobnych geologów, hojnie uposażonych i obowiązanym do najściślejszych poszukiwań w powierzonych im do badania terytoriach zaradziło potrzebie, dając niezwykle popęd nauce.

Pomijamy zaciętą polemikę, między zwolennikami teoryi neptunicznej, którzy utrzymywali, że przy powstawaniu ziemi główną rolę grała woda, a zwolennikami teoryi plutonicznej, którzy znów ogień na pierwszym kładli planie; albowiem rzecz cała już jest przestarzałą, a nowocześnie nauka przedstawiła dowody, że w historii tworzenia ziemi, oba te czynniki uwzględnione być winny, t. j. woda przy formacyach napływowych czyli osadach, a ogień przy utworach wulkanicznych. Formacie napływowe, jako stosunkowo bliżej powierzchni ziemi położone, w pierw też dokładniej zbadane zostały, z prac do tego przedmiotu odnoszących się zasługują na uwzględnienie badania Lyella, którego pierwszy nie wahał się wystąpić przeciw upowszechnionym mniemaniom, popieranym przez znakomitego Cuvier'a, o gwałtownych katastrofach i przewrotach naszej ziemi; lecz przeciwnie zwrócił uwagę, że osadzanie się warstw na powierzchni naszej planety i dawniej odbywać się musiało na tych samych zasadach, w skutek tych samych przyczyn, jakie po dziś dzień pod naszym niejako okiem działają. Nie możemy też pominąć milczeniem znanego Ehrenberga, przez zastosowanie bowiem mikroskopu do poszukiwań geologicznych, stanowi on i w naszej nauce nową epokę i dochodzi do



podobnie zadziwiających rezultatów, jakie przy pomocy tego narzędzia osiągnięto i w innych gałęziach wiedzy przyrodniczej. Pracowite to drobnowidzowe badania Ehrenberga dostarczyły dowodów, że obszerne pokłady i warstwy ziemi złożone są z krzemionkowych lub wapiennych płaszczy drobnowidzowych ustrojów organicznych, nazwanym Diatomeae i Foraminifera. W tych samych mniej więcej czasach t. j. około 1833 roku, przedstawia się na widnokręgu naukowym, wydatna postać angielskiego geologa Murchinsona, poprzedni badacze wyjaśnili w ogólnych przynajmniej zarysach układ formacji napływowych, aż do skał przechodowych Wernera; ostatnia ta jednak grupa mała była znana i dopiero wyżej wspomniany uczony odznaczył w Walii między pokładami łupku krystalicznego i węgla, układ warstwowy przedstawiający właściwe oznaki, a którym podzielił na formację Kambrzyjską, Sylurską i Dewońską. Pierwsza t. j. formacja Kambrzyjska tak nazwana od hrabstwa Cambridge w Anglii, składa się z łupku ilowego prawdopodobnie z wód osadzonego, lecz później żarem wewnętrznym ziemi zmienionego, i tworzy niekiedy główną masę, niektórych gór. W wyżej wspomnianej formacji, nie znajdujemy prawie żadnych skamieniałości, za wyjątkiem niewyraźnych ułamków pni polipowych. Następna formacja t. j. Sylurska, tak nazwana od starożytnego narodu Syllurów, niegdyś w Anglii zamieszkującego, przedstawia już wyraźniejsze uwarstwienie, i zawiera większą ilość skamieniałości, szczególnie też szczątków mięczaków i skorupiaków, ze świata zaś roślinnego nie napotykamy jeszcze żadnej rośliny lądowej, lecz tylko ślady roślin morskich, tak zwanych wodorostów (algae). W skład formacji Sylurskiej, wchodzi łupek szarogłazowy, piaskowiec krzemionkowy, łupek ilowy i łupek tabliczkowy. Trzecia formacja przez Murchinsona opisana nazwana od hrabstwa Devonshire w Anglii Dewońska, spoczywa bezpośrednio na poprzedzającej, składa się z piaskowca drobnociarnistego, z pstręgo marglu i skały kwarcowej, i zawiera znaczną ilość szczątków organicznych, szczególnie muszli i ryb. Murchinson po czterdziestoletniej pracy, gdyż ostatnie jego dzieło w tym przedmiocie ogłoszone zostało w 1867 roku, po uciążliwych podróżach naukowych, dowiódł, że opisane przez niego formacje istnieją nie tylko w Anglii, lecz i w Niemczech, w Francji, Skandynawii, w Rosyi, aż do gór Uralskich i w Ameryce i ostatecznie zapewnił im odrębne stanowisko w geologii. Jednocześnie ten sam autor zasłużył się nauce, przez wykazanie, że w każdej prawie z tych formacji znajdują się szczątki odmiennych organizmów.

W dalszym rozwoju nauka stara się bliżej poznać skały natury wulkanicznej, lecz masy te sięgające aż do najodleglejszych peryodów tworzenia, a z drugiej strony w okolicy czynnych wulkanów, niejako powstające przed naszymi oczyma, przedstawiają trudne do rozwiązania zagadnienia. Celem zbadania mass skalistych, przypuszczalnie do dawnych utworów wulkanicznych należących, przeniesiono pracownie geologiczne w okolice czynnych dotychczas wulkanów, i zajęto się śledzeniem wyrzucanych z wnętrza kraterów mass stałych, podobnych do popiołu i piasku, oraz potoków płynnej lawy, bacząc zarazem na zmiany jakim ostatnie to ciało po zastygnięciu podlega. W trudnych tych i delikatnych poszukiwaniach, chemia przychodzi w pomoc geologii, a ścisły i dokładny rozbiór chemiczny, par i gazów przez wulkany wyrzucanych, pozwala nam wnikać w tajniki buchających ogniem otchłani. Po dłuższej obserwacji, przekonano się, że w massach przez wulkany wyrzucanych, znajdują się najrozmaitsze ciała, od krzemionek do Hyperitów, Dioritów, Syjenitów, Granitów, które pod względem sposobu powstawania, jak również co do składu nie różnią się w niczem, od dawnych utworów natury wulkanicznej.

Otrzymałszy tak świetne rezultaty, z zasto-

sowania drobnowidza przy badaniu formacji napływowych, należało użyć tej samej metody i przy poszukiwaniach nad utworami wulkanicznymi; — nowe jednak przedstawiły się do przezwyciężenia trudności, gdyż nawet najdrobniejszy kawałeczek skały, nie może być wprost przez mikroskop badany. Przed badaniem więc, cząstka minerału, szlifuje się na cieniutką blaszeczkę, a i tak jeszcze w wielu razach poszukiwania drobnowidzowe muszą być przeprowadzone w świetle polaryzowanym t. j. w świetle przepuszczonym przez graniastosłup ze spatu Islandzkiego, czyli tak zwaną pryzmę Nicola, a i w ten sposób zmodyfikowanym, że promienie świetlne raz już odbite lub załamane, tracą możność odbijania się lub załamania w pewnych kierunkach. Podobne poszukiwania oprócz specjalnego uzdolnienia, wymagają i nadzwyczajnej usilności, przeprowadzone jednak przez wielu geologów, z których tylko najznakomitszych wymienimy jak Rosego, Ratha Vogelsanga, Zirkla, rozjaśniły wiele spornych pytań, odnoszących się do składu i drobnego układu badanych ciał. Przy pomocy to dopiero co przedstawionych metod, przekonano się, że układ drobnych cząsteczek w całym rzędzie odwiecznych utworów natury wulkanicznej, o sposobie powstawania których dotychczas tylko niepewne można było robić wnioski, zupełnie jest taki sam, jak i w najświeższych lawach. Również przy pomocy mikroskopu, rozstrzygnięto ostatecznie pytanie o powstawaniu bazaltu, a pracom Zirkla zawdzięczamy dowody, że jakkolwiek bazalty przedstawiają różnice pod względem składających je minerałów, to jednakowoż układ drobnowidzowy, u wszystkich jest jednakowy. Badając pod drobnowidzem cieniutkie oszlifowane blaszki tych skał, wykazano, że drobne cząsteczki przymieszkowe, rozłożone są w massie szklistej lub półszklistej, a nawet odszklonej, co jasno dowodzi, że masy te niegdyś płynne później dopiero po stwardnieniu zamieniły się w skały. Tym sposobem mikroskop rozstrzygnął ostatecznie, o różnorodności pod względem składu tej tak rozprzestrzenionej grupy, a zarazem dostarczył niezbitych naukowych dowodów, na poparcie już wygłoszonego zdania o powstawaniu bazaltu, zdania opartego na stosunkach w jakich znajdowano pokłady do tej grupy należące.

Przedstawiając krótki pogląd na prace odnoszące się do utworów wulkanicznych, nie możemy pominąć Bischoffa, którego skierował poszukiwania na nową drogę, a mianowicie przedsięwziął cały szereg doświadczeń chemicznych, mających na celu rozjaśnienie zagadnień geologicznych. Zalecona przez niego metoda postępowania nie tylko doprowadziła do odkrycia wielu nowych faktów, ale zarazem stała się bodźcem do poszukiwań, jakim mianowicie chemicznym zmianom, podlegają minerały pod wpływem przedłużonego działania wody, zawierającej tlen lub kwas węglany; co się dzieje na powierzchni takich utworów, jakie spostrzegamy modyfikacje odnośnie do podziemnego ich rozdzielania, jak się nareszcie zachowują zmienione w ten sposób pokłady. Bischoff przekonał, że wiele minerałów utworzyło się pod wpływem wody, a nie ulega wątpliwości, że przy obszerniejszym zastosowaniu jego metody, przy liczniejszych doświadczeniach i spostrzeżeniach, nowe dla nauki błysnie światło.

Pomiędzy utworami wulkanicznymi, a formacjami osadowymi, znajdują się łupki krystaliczne stanowiące niejako łącznik, dwóch tych grup; układ bowiem warstwowy zbliża je do osadów, składem zaś swoim, łączą się znów z utworami natury wulkanicznej. Grupa łupków, należy bezwątpienia do najdawniejszych utworów, w korze ziemi znajdujących się, a przez nas poznanych, niekiedy znów spotykamy ciała tej natury i w formacjach młodszych; ztąd też trudno bardzo początek i sposób powstawania tej grupy w sposób zadawalniający objaśnić. Utwory te nazwane skałami prze-

miennymi czyli metamorficznymi, były już przedmiotem poszukiwań najznakomitszych badaczy, wiele też co do sposobu ich powstawania wytworzono hipotez żadna jednak nie oparła się na niewzruszonych dowodach, i przez świat naukowy ogólnie przyjętą nie została; zdaje się nawet, że odnoszące się do tego przedmiotu pytania, tak prędko rozwiązane nie będą, gdyż skały nie powstają pod naszym okiem a zawikłana ich budowa nowych dodaje trudności.

Podczas gdy jedni uczeni pracując nad rozwiązaniem zadań geologicznych dzielali we wnętrzu ziemi, niebezpieczeństwa górników, inni z niemniejszym trudem starali się zbadać nadzwyczaj złożoną i skomplikowaną budowę gór Alpejskich. Nieocenione w tym kierunku oddali usługi geologowie Szwajcarzy, pod przewodnictwem Studera i Eschera, oraz członkowie Wiedeńskiego Instytutu Geologicznego; dzięki ich pracy nie tylko zbadano układ Alp, w porównaniu z sąsiednimi okolicami, ale jeszcze wzbogacono i ogólne nasze wiadomości geologiczne. Badacze bowiem gór Alpejskich, najpierw zwrócili uwagę na ogromne wędrowne głazy, zalegające doliny Szwajcaryi i stoki gór Jurajskich, które powinnyby się znajdować odpowiednio do swej istoty na najwyższych szczytach Alp; ciekawe ich spostrzeżenia stały się źródłem żywej polemiki, i punktem wyjścia teorii o lodowcach. Rzucona myśl stała się bodźcem dla wielu pracowników, wkrótce też Vernetz, Charpentier, Agasziz, Desor, przedstawili dowody, że w dawniejszych czasach góry lodowe daleko obszerniejsze, jak obecnie zajmowały przestrzenie, wędrowne zaś głazy tylko za ich pośrednictwem, mogły osiągnąć miejsc, na których się obecnie znajdują. Z podobnymi wędrownymi głazami spotkać nam się przychodzi nie tylko w Anglii, Szkocji i Skandynawii, ale nawet znajdujemy ich ślady w Niemczech, aż do stóp gór olbrzymich, u nas aż do Karpat w Rosyi ku Uralowi, a na południe aż za Kijów. Na tej więc zasadzie wnosimy, że dawniej cała ta ogromna przestrzeń była zajęta przez wody morskie, gdyż tylko za pośrednictwem gór lodowatych, bałwanami morskimi pędzonych, olbrzymie te głazy mogły być zaniezione w odległe krainy, i osadzone na obcych zupełnie formacjach. Nadmienić też musimy, że teoria o lodowcach, w naszych czasach nie tylko dowodami teoretycznymi, lecz i praktycznie okiem żeglarzy stwierdzoną została, często bowiem spotkać się można z górami lodu zawierającymi w swem wnętrzu odłamy gór i skał, a które rzucone z zatoki Baffińskiej, pływają po Oceanie Atlantyckim, dopóki nie osiągną niższego stopnia szerokości geograficznej, gdzie po rozstąpieniu osadzają swą zawartość w odległych często krainach. Tak więc na zasadzie spostrzeżeń nad wędrownymi głazami dowiedzionem zostało, że niegdyś istniał tak zwany peryod lodowy odznaczający się niższą temperaturą, oraz, że nastąpić musiało znaczne podniesienie się poziomu, na obszernej części lądu stałego, tam bowiem, gdzie niegdyś szalały fale wodne, mamy dziś ucywilizowane państwa, olbrzymie miasta, złocistym kłosem pokryte łąny.

Przy badaniu formacji osadowych czyli napływowych, zwróciliśmy uwagę na skamieniałe szczątki świata roślinnego i zwierzęcego, które z powodu swej ważności nie tylko dla geologa, lecz i dla botanika i zoologa stały się przedmiotem osobnych badań, stanowiących dział geologii zwany paleontologią albo petrefaktologią. W wspomnianych wyżej skamieniałościach, części miękkie i delikatne utrzymać się nie mogły, pozostały zaś tylko szczątki roślin i zwierząt, odznaczające się twardością, jak kora, drzewo, drzewiaste owoce, wapienne skorupy koralu, ślimaków, lub też kości zwierząt wyższej organizacyi. Części miękkie w długim przeciągu lat, uleż musiały rozkładowi, niekiedy tylko w skutek szczególnych okoliczności od zniszczenia uchronione zostały, i do dni naszych przechowały się np. delikatne listki lub owady, za-



sklepione we wnętrzu kawałków bursztynu. Skamieniałości nie znajdują się wcale w utworach wulkanicznych, lecz tylko w formacjach osadowych i naturalnie przy osadzaniu się warstw mulistych z wody, odpowiednie zwierzęta życia pozbawione zostały, przedstawiając obecnie ważne znaki, dla oznaczenia wieku pokładów napływowych. Zwierzęta i rośliny skamieniałe należą w różnych pokładach do odmiennych gatunków, w najstarszych spotykamy gatunki obecnie już zaginione, lub też indywidua do niższych gromad należące, w następnych liczba zwierząt i roślin doskonalszych bardzo jest ograniczoną, w pokładach zaś najmłodszych zbliżają się one do gatunków obecnie żyjących. Pilne badanie skamieniałości, przekonało, że pokłady skał w różnych miejscowościach, lecz jednocześnie utworzone, te same lub bardzo podobne zawierają szczątki; spostrzeżenie to stało się bardzo ważnym punktem, i odpowiednio użytkowane zostało przy rozpoznawaniu i odróżnianiu pokładów osadowych. Z roślin skamieniałych występują przeważnie w pokładach dawnych skrzypy, widłaki i paprocie; w pokładach późniejszych znajdujemy już rośliny liliowate, palmy szczególnie ich pnie, owoce i liście, jak również rośliny szyszkowe czyli iglaste w pokładach zaś najmłodszych trafiają się i drzewa liściaste. Ze zwierząt skamieniałych, odróżniono w pokładach dawniejszych gatunki należące do wymoczków, gąbek, polipów, później zjawiają się skorupiaki, ślimaki głowopławy, robaki są w ogóle rzadkie, a owady przytrafiają się tylko w pokładzie węgla brunatnego, a mianowicie też w bursztynie. Skamieniałe szczątki ryb nadzwyczaj są liczne, tak, że dotychczas rozpoznano i opisano do 800 gatunków gady i płazy przedstawione są przez kilka gatunków żab i węży, spotkano też kilka gatunków: jaszczurów, które już dzisiaj, w podobnej przynajmniej postaci nie istnieją. Ptaków w pokładach dawniejszych, wcale nie znajdowano, a i w późniejszych należą do rzadkości, podobnie i zwierzęta ssące występują tylko w pokładach najmłodszych; z zaginionych gatunków zasługują na wspomnienie, dla olbrzymich swych rozmiarów mamut czyli stoń olbrzymi.

Znając bogactwa skamieniałej fauny, zwolennicy teorii Darwina o przeobrażaniu się gatunków, zwrócili się do badań paleontologicznych, w nadziei dostarczenia dowodów na poparcie teorii angielskiego naturalisty; pomimo jednak najściślejszych poszukiwań, paleontologia nie tylko nie znajduje faktów wyżej wspomnianą teorią potwierdzających, lecz nawet do wprost przeciwnych dochodzi rezultatów. Znakomity geolog Barrande, uznawany za pierwszą powagę naukową w paleontologii, zwraca uwagę, że w formacji Sylurskiej, we wszystkich terytoriach tej grupy, występują zupełnie rozwinięte i wykształcone skorupiaki, tak zwane Trylobity, nie poprzedzone prawie niższymi gatunkami zwierzęcego świata. Autor rozpoznał w wyżej przytoczonej formacji 252 gatunków, do tej gromady należących, kiedy z niżej stojących mięczaków, zna tylko 78 gatunków z których 55 należą do najwyższej rozwiniętych z tej gromady t. j. do tak zwanych ramionowców (Brachiopoda), z najniższych zaś rodzajów zwierząt, jak Bryozores, Cystides, Spongiae znaleziono tylko 19cie gatunków. Widzimy z powyższych spostrzeżeń, że skład pierwotnej fauny zupełnie nie jest zgodny z wnioskami Darwina, albowiem w rzeczywistości wcale nie spotykamy form przechodowych, w bujnej wyrosłych wyobraźni. Zdaje się, że nie można zastosować do p. Barrande zarzutu, niedostatecznej znajomości przedmiotu często przez zwolenników Darwina stawianego, gdyż w tym wypadku mamy do czynienia z najznakomitszą w swej specjalności powagą; a z drugiej strony niepodobna przypuścić, ażeby w katastrofie w której miliardy indywiduów do 255 gatunków należących życia pozbawione zostały, inne sąsiadujące z nimi w skali zoologicznej gatunki, mogły

ujść bezkarnie, lub też żeby bez śladu zniszczone być miały.

Dotknawszy pytań geologicznych z antropologią w związku pozostających, musimy dla wyczerpania przedmiotu wspomnieć choć w kilku wyrazach o odkryciu zarówno ciekawem dla antropologów, jak i dla geologów, a mianowicie o podziemnych pieczarach i jaskiniach, w których znaleziono kości człowieka, wraz z kośćmi zwierząt, niekiedy należących do zaginionych już gatunków, i niektórymi przedmiotami pierwotnego przemysłu, jak strzałami, kamiennymi siekierami i t. d. Jedną z pierwszych jaskiń zawierających szczątki człowieka, oraz kości zaginionych zwierząt, znaleźli i opisali Tournal i Christol w 1828, w okolicy Bize, następnie Schmerling odkrył pewną ilość podobnych pieczar w Belgii w 1833 i 34 roku. Z początku na przedmiot ten nie zwrócono dostatecznej uwagi; dopiero Boucher de Perthes wysledziwszy w okolicach Abbéville szczątki kości ludzkich, obok broni kamiennych i kości słonia nosorożca, pokryte pokładem piasku, 20 stopowej głębokości, pobudził do dalszych poszukiwań. Obecnie odkryto już i zbadano znaczną ilość podobnych zabytków, ważnych dla antropologa zajmującego się losem pierwotnego człowieka, oraz dla geologa śledzącego w jakich warunkach szczątki człowieka szczególnie tym całunem objęte zostały, i jakie od tego czasu nastąpić mogły zmiany w układach i uwarstwieniu naszej ziemi. W ogóle jednak odnoszące się to do tego przedmiotu pytania dalszego potrzebują wyjaśnienia; przy liczniejszych spostrzeżeniach, przyczynić się będą mogły do wzbogacenia nauki.

Powyższy krótki rozbiór najważniejszych pytań geologicznych, połączony ze wskazówkami metod badania i środków jakimi nauka dla osiągnięcia swych celów rozporządza, rozjaśnia nam zarazem drogi jakimi geologia w przyszłości postępować będzie, i wskazuje zadania, od których urzeczywistnienia i rozwiązania dalszy rozwój nauki zależy. Do takich desideratów bezwątpienia należą: 1) Porównawcze geologiczne badania na całej powierzchni zamieszkałej ziemi, które prowadzone być winny w ten sam sposób, jak dzisiaj w ucywilizowanych tylko krajach. 2) Zbieranie skamieniałych szczątków świata roślinnego i zwierzęcego, i porównywanie ich tak między sobą, jak i z podobnymi i dzisiaj jeszcze żyjącymi formami. 3) Dalsze drobnowidzowe i chemiczne badania mass skalistych. 4) Doświadczenia nad sposobami powstawania minerałów, składających utwory wulkaniczne.

Szczególniej do osiągnięcia pierwszego celu, mogą się znakomicie przyczynić prywatne stowarzyszenia lubowników geologii, a tworzące się szczególnie w Anglii liczne kluby zajmujące się badaniem pod względem geologicznym sąsiednich okolic, rozwijają się wkrótce i w innych krajach, i nie mało się przyczynią do postępu naszej nauki.

## W PRZYTYKU.

(Notatka bibliograficzna).

Przez K.

Było to w Przytyku. Szeroko rozwarte wrota zajązdu, czyli żydowskiej karczmy, skryły w cuchnącej ciemnicy konie i bryczkę,—sam zaszedłem do Dawidka utrzymującego w rynku handelek tak zwany korzenny, jakiemu równego nie ma na całej przestrzeni od Kamiennego Woli do Radomia, choć po drodze przejeżdża się także jak i Przytyk miasteczko, dziś osady, Kłwów i Odrzywół.

— Wielmożny pan do Radomia?

— Do Radomia mój kupiec,—u was co sły chać?

— Dziękować Bogu, nowego nic.

O tem, o owem, przyszło do ciężkich czasów i rosnącej gwałtownie biedy między szlachtą,

Dawidek zaczął wzdychać, aże go zreflektował:

— Co tak narzekasz mój Dawidku? — bieda — a no! bo bieda między szlachtą, — aleć to nie dla was kłopot.

— Co to pan gada? czy to W. Pan nie wie, że jak jeden szlachcic upadnie, to po nim sto żydów musi płakać?

— A to dla czego?

— Dla czego? — a z kogo żydki żyją jak nie ze szlachty? jak szlachcicowi źle, to żydkom jeszcze gorzej. U chłopca nie zarobi, a jak pan nie ma, to z kim handlować? jak tu żyć?

W tem wszedł człowiek w niebieskiej kurcie, w zmiętej i wyszarzanej, niegdyś lakierowanej czapce, z biczem trzciniowym w rękę, co oznaczało dworusa i stangreta. Podał żydowi małą kartkę, na której stało napisane: „Dawid wyda: cukru głowę, kawy dwa funty, okowity garney dwa, araku, tylko dobrego, kwartę, cytryn sześć, świec łojowych dwa funty i t. d., u dołu data i podpis.”

Zawinał się Dawidek, kartkę schował starannie do szuflady, w której kilka przegródek za pełnionych było samymi kwitkami.

— Dużo macie w tych kwitkach? zapytałem.

— Tak—będzie na parę tysięcy rubli.

Na wsi, jest to prawie powszechny sposób załatwiania domowych potrzeb gospodarskich. Nie bowiem łatwiejszego, jak napisać rejestrzyk i posłać go do Dawidka; choćby nie było w domu rubla, towar się znajdzie na każdy raz, w lepszym gatunku, lepiej odważony i w cenie nawet o parę groszy taniej na kwitek, jak za pieniądze. Bo za pieniądze kupuje w miasteczku tylko chłop, albo też biedak jaki, za grosz kredytu u żyda mieć nie mogący, płacąc drożej—jeden przez nieświadomość, drugi z biedy. Za to znowu, jak się ueziera za jakiś czas wiązka podobnych kwitów, a Dawidek posłyszysz że szlachcic ma trochę zboża, zjawia się w samą porę—i ze względu na swoją usłużność, grzeczność, potulność, a w końcu i sumiennosc, za cukier, kawę, herbatę, piwo bawarskie, wódkę, wino, arak, cytryny, świece, naftę, igły, nici, olej, śledzie, sól i t. p. artykuły gospodarstwa domowego, wykupuje od szlachcica zboże o cztery albo i pięć złotych na koreu niżej jak jest w targu. I potulny Dawidek, który zaczął handelek od dwustu rubli, tym sposobem, po kilkunastu latach posiadał w kwitkach płatnych około 2,000 rubli, w towarze z tysiąc, w zbożu, wełnie i okowicie, które u szlachty zakupił na swoją rękę, ze trzy tysiące rubli,—drugie tyle na wódkach,—z tysiąc rubli w srebrze i innych fantach, które, nie mogąc inaczej, pobrał od szlachty niewypłatnej. Oprócz tego miał na kilkanaście tysięcy złp. rewersów i kwitów, żadnej wartości nie mających, dłużnicy bowiem, dawniej ludzie zamożni, w skutek ciężkich czasów i różnych okoliczności pobankrutowali; chował jednak Dawidek te rewersa, każdemu je przy zdarzonej okazji pokazywał, płacząc na szlachtę i przysięgając, że cały majątek przez nią stracił.

Należało mi ruszać dalej. Wypiwszy kufelek piwa, pytam: co się należy?—ale Dawidek związał się ważąc i odkładając na stronę sprawunki wypisane na kwicie. Spojrzałem na tę jego robotę, aż widzę, żyd drze z księgi jakiegoś in foljo karty i świece niemi owija.

— Co to za książki masz Dawidzie? pokaż no!—czytam: „Jul. Caes. *Bullangerii Historiarum Lib...*” dalej *Listy Seneki*.

Niestety, były to resztki tylko, nad którymi Dawidek pastwił się po barbarzyńsku.

— Zkądże to macie takie książki?

— Nu—było więcej ale wyszło już, tylko ostało parę.

— Pokaż no.

Zdjął z pulki trzy czy cztery grube księgi, między niemi był stary słownik łacińsko, włosko, francuzko, niemiecki, — parę ksiąg teologicznych i jedna formatu in folio, odznaczająca się pięknym drukiem, będąca—jak się po



79

bliszem przejrzeniu okazało—dwoma dziełami treści i wydania oddzielnego, w jeden wolumin oprawnemi <sup>1)</sup>. Sama treść tych ksiąg nie była dla mnie zbyt łakomą, ale mnie zęciły piękność druku, miejsce i czas wydania, a nade wszystko nader liczne dopiski ręczne—i na początku kilkanaście kart rękopismu, z którego dwie pierwsze, charakterem gockim, zawierają wyjątki z księgi X Kaja Tytusa Proba i oczywiście dawnoscią pisma, sięgają początków wieku XVI <sup>2)</sup>.

Pierwotni posiadacze tych ksiąg, troskliwie na nich zapisywali swe nazwiska,—między nimi zapisał się dwukrotnie, żyjący u nas za czasów Zygmunta Augusta, Abraham Baksza Węgier. Tego pamięć, jako człowieka szczególnie uczonego i autora wielu pism, zamieścił w dziele swoim wydanem w Wiedniu r. 1775 uczony węgierski Aleksy Horanyj,—o czem wzmiankę znaleźliśmy u Jochera w szacownem dziele: „Obraz bibliograficzno-histeryczny literatury i nauk w Polsce T. I p. 316 <sup>3)</sup>. Zdołałem też, jak mi się zdaje, ze zbyt bladego napisu, odcyfrować, że księgi te kupione były w Bazylei 1621 r. <sup>4)</sup>. Ostatni który się na nich zapisał, Jerzy Zawodzki, przyozdobił je kartą na czele z napisem: „Memoriale Georgij Zawodskij etc”, wśród różnych ornamentów pracowicie farbami odrobionych, a i w ciągu całego prawie V. Maxima, inicjałe ręcznie, zapewne przez tegoż Zawodzkiego, zostały odrobione.

— Co chcesz Dawidku za tę książkę.

Żyd zastanowił się, popatrzał na mnie, księgę położył na wadze i powiada:

— Nu—pięć złotych.

— Dla czegoż tyle?

— Waży pięć funtów.

— A któżby płacił za takie szpargały funt po złotemu?

— Czy to pan nie wie że teraz papier zdrożał?—ja sam zapłaciłem po 15 groszy,—chcę zarobić.

— Chcesz zarobić, — ale ktoby ci tu kupił taką starą książkę, — ot i ja, nie koniecznie, — czytać tego nie będę, to po łacinie.

— No—kiedy pan chce kupić, to pewno pan rozumie co to jest,—do czytania to bardzo dobre,—to tak jak nasze bubel.

Miałem nazajutrz wracać tą samą drogą, dla tego też odłożyłem ten osobliwszy targ do jutra; ale ciekawy byłem, zkąd u żyda w Przytyku mogły się znaleźć księgi pochodzące z nie byle jakiej biblioteki? Otóż opowiedział mi Dawidek, że właściciel tych ksiąg, szlachcic, jeden ze starszych w okolicy, zagrożony przez Towarzystwo czy wierzyciela wywłaszczeniem,

zmordowany przez sekwestratora za podatki, nie widząc innego środka, uderzył w szacowny swój księgozbiór, który go choć na chwilę z grożącej nędzy wyratował. Sprzedał jakimś szczęśliwemu amatorowi do Warszawy ksiąg za 6,000 złp.,—resztę, przez tamtego wybrakowaną, puścił żydom na funty.

Czy mógł zrobić inaczej? — niestety—nad wiele a wiele względów, silniejszą jest potrzeba.

Właśnie jechałem także sam, w przeddzień licytacyi, płacić należne odemnie aż cztery załegłe raty Towarzystwa,—a Bóg świadkiem, z jaką trudnością przyszło mi—już w ostatniej chwili—zgrupować ten grosz, ratujący na chwilę mnie z żoną i naszym drobiazgiem, od losu, jaki tamtemu oraz tysiącom współziomom moich dziś zagraża.

Nazajutrz, załatwiwszy się w Radomiu, wracałem do domu, Panu Bogu dziękując że jeszcze okazał nademną miłosierdzie i dozwolił już prawie w samym terminie licytacyi, zapłacić dwuletnie Towarzystwo. Przejeżdżając przez Przytyk, zaszedłem do Dawidka.

— A co? Wielmożny Pan weźmie książkę?

— A wezmę. Wieleż za nią?

— Nu—jak dla pana, niech będzie za 3 złote,—szkoda by niszczyć,—to tak jak nasze bubel.

Wziąłem więc nowego przybysza do mego zbioru,—ale niestety—pięknej karty na czele, pracowicie odrysowanej i ukolorowanej przez Zawodzkiego już nie było. Któres z drobnych, kręcących się po sklepie, krzykliwych żydziat, musiało je odedrzeć, choć Dawidek pod *hairem* i na *munes* przysięgał się, że książki nikt nie tykał.

Musiałem wziąć to co było, bojąc się dalszego powtórzenia losu dziewięciu ksiąg Sybilli rzymskiej.

W Kamiennej Woli, d. 23 listopada 1872 r.

## WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Żywoć Ś-ej Klary z Assyżu założycielki Sióstr ubogich, p. O. Prokopa Kapucyna.

„Mądrość oddalona i skarb zakryty, co za pożytek z obojga?” wyrzekł w ubiegłym stuleciu pisarz *Matki Świętych*, a słowa jego przychodzą mimowolnie na pamięć, ilekroć rozważamy jak wiele skarbów ducha, nabytych ciężką i męczącą wewnętrzną pracą, marnieje zakrytych, gdy stawiciby je należało na świeczniku przed oczyma następnych pokoleń. Więcej niewątpliwie ubiegamy się o zapisywanie świetnych dzieł rycerskiej chwały, mądrych kombinacji umysłu ludzkiego zawartych w rozgłoszonych księgach, szacownych utworów sztuki i t. p. ziemskiej sławy nabytków, aniżeli czynów miłości tych wybrańców Łaski, których głosy są dla nas odbiciem głosu Boga na ziemi. W dzisiejszych zwłaszcza czasach, gdy w ogóle mało przywiązują wagi do wyższego religijnego ustroju człowieka, nie starają się bynajmniej dostarczać mu prawdziwie szlachetnych wzorów, na którychby się mógł kształcić. A przecież ileż to dusz zbolejących błąka się w rozpaczem poszukiwaniu ideału, wołając nadaremnie wśród ciemności: „Stań się światłości!” a światłości tej widzieć nie chcą w rzeczywistym jej źródle, w życiu i czynach ludzi, którzy sami szukali prawdy nie w mądrości ziemskiej, a pokoju i szczęścia, nie w skarbach tego świata. Żywoć przeto Świętych pisane w zajmujący sposób, dla czytelników wszelkich warstw społeczeństwa, są nader pożądane w każdym piśmiennictwie, ze względu na wielki moralny pożytek jaki przynieść mogą; zapatrując się bowiem „na te potężne filary Kościoła, co z ziemi wyrosły a Nieba dobiegły wierzchołkiem” każdy czuje się słabym i ubogim w zasoby ducha, o które głównie ubiegać się powinien w ciągu życia. We Francji zkąd nawykliśmy brać we wszystkim wzory, oddawna już znaleźli się znakomici na tém polu pracownicy. Na dowód dość wspo-

mnąć żywoty: Ś-ej Elżbiety Montalembert'a, Ś-go Augustyna Poujoulat'a, Ś-go Dominika Lacordaire'a, Ś-ej Pauli rzymianki Lagrange'a, i Ś-ej Moniki Bougaud'a, gdzie najubożniejszego czytelnik porwany jest zarówno przedmiotem, jak sposobem w jaki obrobiony został. Co do nas, poczynając od Skargi, który dla niezrównanych zalet języka zawsze pierwszorzędnym zajmie miejsce, wielu mieliśmy autorów żywotów świętych, wielu *powołańnych*, lecz nader szczupłą liczbę *wybranych*, co się zresztą łatwo tłumaczy, gdyż rodzaj podobny, oprócz zdolnego pióra, wymaga jeszcze, gorącego i pełnego namaszczenia ducha.

Ojciec Prokop Kapucyn, znany u nas świątły kapłan i pisarz wielu dzieł pobożnych, połączony umiał w swych pracach wszystkie wyżej wymienione warunki. Wydany przez niego obecnie żywot świętej założycielki *Sióstr ubogich*, tak nazwanych *Klarysek*, lub *Franciszkanek* od imienia świętego którego regułę przyjęły, zaliczyć się może śmiało do najlepszych u nas prac tego rodzaju. Fakta prawdziwe, stwierdzone powagą źródeł z których czerpane, opowiedziane z prostotą i wdziękiem średniowiecznej legendy, obrazy z dawna ubiegłych wieków, jasniejące prawdą i życiem, dramatyczne ustępy, wśród których postać świętej bohatérki rysuje się zawsze na tle uroczystego spokoju, promienna blaskiem łagodnym i cichym, cudowne widzenia i nie mniej cudowne rzeczywiste wypadki, splatają się w tej książce w pełną interesu całość. Obok Ś-ej Klary widzimy spowinowaczonego z nią duchem Franciszka z Assyżu, jednego z najtłkliwszych świętych, miłującego Boga we wszystkich Jego twórcach, za którego sprawą założycielka *Sióstr ubogich*, powołana została do zakonnego życia. Na każdym kroku szuka ona u niego rady, i dopiero po jego śmierci, rozpoczyna sama pracę na nader rozległym polu. Rozsela po różnych krajach siostry dla zakładania nowych klasztorów; przeprowadza korespondencye z możnymi tego świata, zachęcając ich do umiłowania ubóstwa i pokory, a zjednawszy w ten sposób Niebu nie jedną duszę, spracowana w winnicy pańskiej, dokonywa życia, którego pozostawia trwałe ślady na ziemi.

I w naszym kraju podobnie jak w ościenionych, powstały klasztory jej reguły. Najpierw w Zawichoście, w Skale i w Krakowie, wzniosła je Salomea Leszka Białego córka, a po Kolomanie Halickim królu wdowa, a następnie w Sączu Kunegunda Bolesława Wstydlwego małżonka. Obie te wielkie Święte nasze, równie jak matka Bolesława Grzymisława księżniczka ruska, i Jukulanta księżna kaliska, dokonały reszty dni swoich w klasztorach Franciszkanek. Klasztor Zawichostski wslawił się podczas napadu tatarów pod wodzą Nogaję i Teleboga męczeństwem 60 zakonnice, dziewięć szlachetnego rodu. Imiona ich na wieczną pamięć zapisane zostały w archiwach klasztornych, podobnie jak imiona 40 męczenników poległych w dziesięć dni później w Sandomierzu. O. Prokop w życiu Ś-ej Klary wspomina ten krwawy epizod pamiętny w dziejach zakonu Klarysek. Niepotrzeba mówić zda się, że w pracy jego zalecającej się zarówno formą jak treścią, każdy znajdzie naukę, którą zastosować może w życiu. Matki też zwłaszcza rodziny, rozpowszechniać ją powinny. „Matka dla dziecięcia w pierwszych latach jego życia mówi O. Prokop, nie tylko jest światem całym, lecz jest i powinna być przedewszystkiem jakby całym Kościołem. Od niej pierwszej słyszy ono czego później dopiero Kościół uczyć go będzie z całą powagą swej hierarchii, której pierwszym kapłanem jest dla dziecięcia matka, od której nietylko z ust jej dowiaduje się, ile radej w sercu jej wysłuchuje ono pierwsze zasady tych wielkich prawd, mających później na całe jego życie najprzeważniejszy wpływ wyrzeć.” „Oprócz wspomnianego wyżej żywota Ś-ej Klary, O. Prokop ukończył jeszcze obecnie: *Żywoć Świętych na każdy dzień roku*. Wy-

<sup>1)</sup> Tytuł pierwszego: „Valerius Maximus cum commento Oliverii Arziganensis Vicentini.” Kart całych liczbowanych CCVI, przy końcu wyrażone miejsce druku i data: „Impressum Venetiis accuratissime p. Albertinum Vercellensem anno nostri Salvatoris M. CCCC. die V mensis Julii.” Notujemy, że Valerius Maximus uczony rzymski, moralista, żył za czasów Cesarza Tyberjusza, któremu dzieło swe przypisał. W dziewięciu księgach które pozostawił, pisał: O religii, o śnie, o cudach, o ustawach, o karności wojskowej, o dzielności, o tych, którzy ze znakomitych rodziców nikczemnie wyrodzili się, o słabości, o umiarkowaniu duszy, o wstrzeźliwości i powściągliwości, o ubóstwie, o miłości w małżeństwie, o przyjaźni, o szczodrości, o ludzkości i t. d., co wszystko przedstawił w przykładach z życia i w przeszłości poczerpiętych, — dla czego ważny do wyrozumienia warunków życia i ducha starożytnych. Drugiego dzieła tytuł: „Tragoediae Senecae cum duobus commentariis: videlicet Bernardini Marmitae et Danielis Galetani poe. cla.” Kart całych liczbowanych CXLVI—na przedostatniej: „Venetiis diligenter impressum par Ioannem Tridinum de Cirreto alias Tacuinum M.CCCC.XCVIII. die vero mensis Aprilis septimo. Laus Deo et beatissimae Virginis Mariae.

<sup>2)</sup> Dwanaście następnych kart rękopismu, we dwie kolumny, ścisłym i biegłym charakterem łacińskim są zatytułowane: „Tabula utilissima Valerii Maximi, ingeniosissime excogitata” etc.

<sup>3)</sup> Tytuł dzieła Horanygo: „Memoria Hungarorum et Provincialium scriptis editis notorum etc.”—Pais I p. 105.

<sup>4)</sup> Napis najdawniej, charakterem gockim położony, opiewa: „Georgij bapthensis sum,”—tuż pod nim: „Michei bapthensis sum,”—następnie: „ABakschae frum.—Potem w d. 19 Marca 1569 r. księgi te przez owego Bakszę Węgry zostały komuś darowane. Następnie idzie napis: „Suo dilecto dno fri Georgio Zawodzkij Ioannes Hrabowski frum amoris erga DDD Anno 1596”. Nakoniec ostatni napis: „Georgij Zawodzkij sum Anno MDCII m. p.”



danie tej wielce pożytecznej pracy, zależy będzie, od mniej lub więcej szybkiego rozejścia się w obiegu księgarskim żywota S-ej Klary, z którego sprzedaż zebrany fundusz, przeznaczony został na kosztą druku tego nowego dzieła; spodziewać się przeto należy że wydawnictwo jego opóźnionem nie będzie, albowiem jak mówi poeta:

Nie do tych, duch się w dziejach garnie,  
Co żyli w złocie, a dziś śpią w marmurze.  
Ale co żyli dla świata nie marnie;  
A dziś czuwają jak Anieli Stróże,  
Nad ową ziemią co im rodzicielką,  
Którą miłością kochali tak wielką,  
Ze na jej skrzydłach, i za jej przyczyną,  
I dżś ku Niebu jeszcze serca płyną!

## MIDLEMARCH

POWIEŚĆ

George Eliot.

Słynna autorka *Adama Bede*, ukrywająca się pod pseudonimem *George Eliot*, wydała już w ostatnich czasach powieść, która zwraca powszechną uwagę wysokimi zaletami stylu, niepospolitym darem obserwacji, oraz nader żywym obrazowaniem. Pomimo wszakże tych cech znakomitego talentu, *Middlemarch (Middlemarch a study of provincial life)* nie we wszystkich obudza równie żywe zajęcie, z powodu, że podobnie jak poprzednie prace *George Eliot*, odznacza się tendencją do uwydatnienia jedynie pozytywnej strony życia, pomijając, lub przedstawiając w fałszywym świetle, wszelki idealny kierunek, jak gdyby tenże istnieć nie mógł w zwyczajnych warunkach bytu na ziemi. Zdaje się wedle tych przekonań autorki, że osoby mające jakieś wzniosłe pragnienia i wyższe cele, zaniechać ich powinny, jeżeli doznać nie chcą zawodu i rozczarowania. Realizm taki nie każdemu sympatyczny, dostrzegając się daje w *Middlemarch*, szczególnie w historii *Doroty*, jednej z bohaterek tego osmiotomowego romansu, złożonego z rozmaitych oddzielnych ustępów, powiązanych słabą tylko nicią z całością.

Obrazy te i obrazki różnej treści i barwy, lubo skreślone po mistrzowsku, z jednej strony stanowią artystyczne bogactwo powieści, z drugiej sprawiają, że czyni wrażenie gmachu, którego budowniczy zatopiony w ornamentacji, zapomniał o głównym zarzysie. *Miss Dorota Brock* i siostra jej *Celja*, młode osoby zamieszkuje pod opieką wuja większą posiadłość *Tipton-Grange*, występują tu na pierwszym planie. Jakkolwiek wychowane w jednych zasadach, różnią się one wielce usposobieniem swoim. *Dorota* zamilowana w naukę, oddana czynom miłosierdzia i pobożnym rozmyślaniom, żyje najwięcej życiem wewnętrznym, podczas gdy *Celja* chętnie lgnie do marności świata.

— Już sześć miesięcy temu, mówi pewną razą do siostry, jak wuj oddał ci klejnoty naszej matki, a nie otworzyłaś nawet szkatułki, w której złożone. Gdybyś dziś miała trochę czasu, mogłybyśmy je obejrzeć i podzielić się nimi, dodała nieśmiało, lękając się nagany *Doroty*, której surowe zasady wzbudzały w niej zawsze trochę obawy, lubo żartowała z nich niekiedy. Ale z wielkim jej zadziwieniem, *Dorota* śmiała się tylko z akuratności z jaką czas obliczyć umiała.

— A ty zapomniałaś pewno zupełnie o tych klejnotach, rzekła osmielona łaskawością siostry.

— I na cóżby się przydało pamięć o rzeczy, z której nigdy nie zrobimy użytku.

*Celja* zarumieniała się na te słowa.

— Zdaje mi się, że byłoby to ubliżeniem pamięci matki naszej, rzekła poważnie, gdybyśmy spadek po niej odrzucały; a prócz tego dodała z westchnieniem, naszyjniki weszły znów w modę. Jest się chrześcijanką, to prawda... ale pewną jestem, że i w Niebie znajdują się kobiety, które tu na ziemi nosiły dyamentowe ozdoby.

— A więc i ty lubiłabyś się w nie stroić? zawołała *Dorota* z podziwem, jakiego dozna-

jemy zwykle, czyniąc jakieś niespodziewane odkrycie. Kiedy tak, to trzeba je obejrzeć przedziej. Czemuż nie powiedziałaś mi tego wcześniej? Ale gdzież są klucze? Gdzie klucze od biórka? I przycisnęła rękę do czoła, jak gdyby nie mogąc sobie przypomnieć gdzie je schować mogła.

*Celja* podała klucze, które już zdawna miała w pogotowiu na wszelki wypadek.

— Otwórz więc szufladę i wydobądź szkatułkę.

Polecenie to w jednej chwili spełnionem zostało, i klejnoty zabłysły rozsypane na stole. Znajdowały się pomiędzy nimi bardzo piękne rzeczy. *Dorota* wzięła świetny naszyjnik ametystowy i włożyła go na szyję *Celji*, która zaraz w lustrze spostrzegła, że jej w nim bardzo do twarzy.

— Naszyjnik ten rzekła, nosić będziesz do twej jasnej sukni z indyjskiego muślinu, krzyż zaś nasadzany perłami, zachowasz do ciemnych ubiorów.

*Celja* powstrzymała wykrzyknik radosny.

— Och! Dosiu rzekła, krzyż będzie dla ciebie.

— Nie moja droga, odparła *Dorota* obojętnie.

— Ależ kiedy ja tego pragnę, i krzyż nosić można nawet przy czarnych ubiorach.

— Krzyż jest właśnie przedmiotem, którego nie chciałabym używać jako błyskotkę do ozdoby stroju.

— A więc potępiasz mię, że nie jestem równie skrupulatną? rzekła *Celja* lekko pomieszana.

— Bynajmniej, uważam tylko że dusze podobnie jak twarze, mają swoje fizyognomje, a co przypada jednej, nie przystoi wcale drugiej.

— Mogłabyś przecież ten krzyż zachować jako pamiątkę po mamie.

— Mam po niej inne pamiątki; wszystkie te klejnoty do ciebie należą i proszę cię zabierz je nie spierając się dłużej.

*Celja* obraziła się, widząc w tej purytańskiej tolerancji, pewien rodzaj wyniosłości.

— Jakżesz mogę stroić się w klejnoty, gdy moja starsza siostra nie chce ich nosić wcale?

— Za nadto jesteś wymagająca moja droga, i chcesz abym czyniła z siebie ofiarę, dla twego upodobania w stroju. Boże! gdybym włożyła podobny naszyjnik, zdaje mi się że ziemia obróciłaby się przedziej na swej osi pod memi stopami; że wykonałabym coś nakształt podskoku w balecie!

— Byłby on dla ciebie za ciasny, podchwyciła z pewnem zadowoleniem *Celja*. Już to wyznać trzeba, że nie każdemu w naszyjniku do twarzy. Otworzyła potem pudełko z pięknym szmaragdem osadzonym w brylantowym pierścieniu; promień słoneczny wyszedłszy właśnie z chmury padł na stół, i oświecony nim klejnot zabłysł tysiącem iskier.

— Ach! jakież to piękne! zawołała *Dorota* pod wpływem uczucia powstającego równie nagle jak ten blask słoneczny. Rzecz dziwna, że gra tęczowa kolorów odbijająca się w drogich kamieniach, działa na zmysły równie przyjemną jak wonność; z tej to zapewne przyczyny, służą one za emblematy duchowe Apokalipsy. Kazden z tych klejnotów wzięszy można za odłamek z budowy przestworów niebieskich, ale szmaragd najpiękniejszy ze wszystkich!

— Oto masz drugi podobny w bransoletce.

*Dorota* włożyła bransoletkę i pierścień, a potem podniosła rękę, chcąc dać pozór mistyczny wrażeniu upodobania, jakie znajdowała w tych przedmiotach.

— Więc lubiłabyś podobne ozdoby? zawołała *Celja* zdziwiona, że siostra jej okazała taką słabostkę; pomyślała też może, że w szmaragdach byłoby jej ładniej niż w ametystach, bo dodała po chwili:

— Patrz, te agaty są także piękne i poważne...

— Zapewne, lecz zostawiam sobie szmaragdy, odparła *Dorota* spuszczać rękę. I pomyśleć, dodała innym już tonem, że to biedni ludzie wynajdują i szlifują podobne kosztowności!

*Zadumała* się potem głęboko, z czego *Celja* wniosła, że zapewne wyrzecz się tych próżnych ozdób. Ale nadzieja ta wkrótce zawiedziona została, gdy *Dorota* patrząc z widoczną przyjemnością na szmaragdy, powtórzyła znów: Zostawiam je dla siebie, zabierz zresztą wszystko.

— Czy będziesz je nosić? zapytała ciekawie *Celja*.

— Być może, odparła wyniosło *Dorota* spoglądając na nią, jak gdyby odgadła jej niezadowolnienie, nigdy nie wiemy naprzód jak dalece poniżyć się możemy. *Celja* zarumieniała się i posmutniała; widziała że siostra czegoś nieukontentowana i nie śmiała jej nawet podziękować za otrzymane dary. Sumienie nie czyniło jej wszakże żadnych wyrzutów za słowa, które wyrzekła. Wedle jej mniemania *Dorota* powinna była wiaść swoją część klejnotów, lub oddać jej wszystkie...

— Nie sędzę, myślała zasiadając potem do roboty, aby podobne ozdoby mogły czynić roztańczenie w modlitwie, lub być powodem do jakiegokolwiek grzechu; wyobrażenia *Doroty* pod tym względem nie mogą mię kępować, a zresztą *Dorota* nie zawsze jest w zgodzie sama z sobą...

*Dorota* ze swej strony czuła się niezadowolnioną; rysując pilnie plany budowy wzorowych domów dla ubogich, wyrzucała sobie niektóre słowa i uczucia...

— Przyjdź obejrzeć moją robotę, rzekła wreszcie do *Celji* pochylonej nad krosienkami, a gdy ta zaczęła się przypatrywać rysunkowi, podała opierając się na rękę, opierając się na rękę:

— Będę się miała za wielkiego architekta, jeżeli moje schody i kominy rzeczywiście na coś się przydadzą.

*Celja* zrozumiała że siostra uznaje swą winę i chętnie jej wybaczyła. Przyzwyczajona była zresztą do dziwnego trochę postępowania *Doroty*, która jak to wnosić można z przytoczonej powyżej rozmowy, nie była podobną do ogółu młodych osób. Nie dbając wcale o powierzchowność swoją, niewiedziała prawie że jest piękną, a jeżeli ktoś upodobał ją sobie szczególnie, przypisywała jego zajęcie wdziękom *Celji*. Natomiast czytała z zapalem poważne księgi i roztrząsała kwestye socjalne, mające na celu przynieść ulgę nędzy biednego ludu, którego była osobliwszą protektorką. Czuwała ułoża chorych wieśniaków, modliła się przy umierających, i pocieszała osieroconych, a żaden ubogi naprzód nie odszedł od jej progów. Marzyła o urzędzeniu tanim kosztem wzorowych mieszkań dla włóścian; o urządzeniu szkółek rzemieślniczych, szpitalów i innych filantropijnych zakładów, skoro tylko dojdzie do pełnoletności i rozporządzać będzie mogła swym majątkiem; słowem zapatrywała się na życie w sposób chrześcijański, i ten to właśnie pogląd stara się ośmieszyć autor, nadając mu dziwaczne formy. Wszyscy otaczający uznają wyższość *Doroty*, lecz przekładają nad nią jej siostrę, z prostej przyczyny, że widzą w niej rozsądek, którego tamtej brakuje. Każdy postępek *Doroty* nacechowany dziwną i nienaturalną exaltacją, sprawia, że ci nawet, których osypuje dobrodziejstwami, lękają się do niej zbliżyć, nie mogąc zrozumieć do czego właściwie dąży, i czego pragnie.

Pomimo wszakże tych przywar, sir *James Chettem* jeden z sąsiadów jej wuja, ujęty pięknosciami *Doroty*, stara się o jej względy. Aby ją sobie zjednać, rozmyśla również nad osłodzeniem losów cierpiącej ludzkości. *Dorota* nie dorozumiewa się z początku jego uczuć, sądząc że *Cecylja* jest ich przedmiotem; lecz gdy zaczyna budować chaty wedle narysowanych przez nią planów i daje poznać, że chce tem ująć jej serce odgaduje wszystko. Zamiast jednak przyjąć wdzięcznie te dowody miłości, rozgniewana jest tylko wyrachowaniem, które dostrzegła w dobrym uczynku. Odtąd myśli ze wstrętem o nicości



80

moralnej tych co ją otaczają, a bolejąc że nikt jej nie rozumie, odosabnia się, i oddaje poważnym religijnym i naukowym studjom. Och! gdyby wtedy napotkała choć jednego wyższego człowieka, nawet starca pozbawionego wzroku jak Homer lub Milton, z jakąż rozkoszą poświęciłaby mu życie swoje! Ale okolica Middlemarch nie obfituje w wyższości umysłowe. Jedynym człowiekiem noszącym tu miano uczonego, na mocy przysłowia: że „w królestwie ślepych, jednooccy są królami,” jest wielebny sir Edward Casaubon, właściciel sąsiedniego majątku Lowick, który jak powiadają, od lat wielu pracuje nad dziełem historyczno-religijnej treści, mającemu odkryć jakieś nowe horyzonty myśli. Znaczący majątek, pobożność i mniemana uczoność, sprawiają że sir Edward obudza we wszystkich poszanowanie, i Dorota więc przygląda mu się ciekawie, a biorąc milczącą powagą za wyraz prawdziwej wyższości umysłu, chwytając skwapliwie nader rzadkie słowa wychodzące z ust jego. Zachwycą się niemi, porównując je z bezbarwną gadaniną wuja swego pana Broock, poczciwego wiejskiego szlachcica, i innych jego sąsiadów. Naturalnie, że przytem nie razi ją wcale niemila powierzchowność i wiek uczonego. Powierzchność ta wszakże nie uchodzi uwagi Celji.

— Boże! jakże pan Casaubon jest brzydki! mówi wstając od stołu, przy którym obiadowali wspólnie.

— Jest to jeden z najdystyngowańszych ludzi jakich spotkałam kiedykolwiek, odrzekła Dorota, a przytem podobny do portretów Locke'a.

— Czyż Locke miał takie dwa znamiona na twarzy?

— Zapewne, że twarz jego musiały cechować pewne znamiona, w oczach niektórych ludzi przyjaźniej.

— Ale jakże pan Casaubon jest żółty!

Tu Dorota obrażona odpowiada, że boleśnie jest słyszeć o powierzchowności człowieka wielką obdarzonego duszą, sądy dając się raczej zastosować do zwierzęcia, lub martwego przedmiotu, którego oblicze wyrazu ducha nie odbija.

— Więc pan Casaubon miałby wielką duszę?

— Tak mniemam, skoro cała jego osoba harmonizuje ze znakomitą broszurą o *Kosmologii Biblijnej*, którą wydał niedawno.

Te słowa dały do myślenia Celji. Skoro Dorota powiada, że pan Casaubon nie ma tu z kim rozmawiać, nie ulega już wątpliwości, że nie myśli iść za sir James'a Chettama, w takim bowiem razie wyróżniony by został od otaczających. Z jednej strony szkoda, że nie zostanie jego żoną, a z drugiej to może i lepiej, bo kto wie czy ze wszystkimi przymiotami zdoła uszczęśliwić męża, a sir James jest tak miłym człowiekiem!

Dorota tymczasem rozmawia coraz więcej z wielebnym Casaubonem. Opowiada on jej o dziele, nad którym pracuje, a którego treścią ma być wykazanie źródeł wszystkich mitów całego świata. Program dzieła tego umie na pamięć od lat wielu, więc mówi gładko, a że nie zadaje sobie pracy tłumaczenia cytat greckich i łacińskich, zachwycą tym Dorotę, która sądzi że uważa ją względem siebie na stopie koleżeńskiej równości w nauce. Ze swej strony, szanowny właściciel Lowick pomimo obojętności na wdzięki niewieście, mile przyjmuje objawy przychylności tej pięknej dziewczyny, i znajduje nawet, że młodość wielce uprzejmnie może uczone prace wieku dojrzałego. Dorota zachęca go coraz więcej do stanowczego kroku, nie tając się nawet wcale z uwielbieniem swem dla jego osoby. Nie czekając więc dłużej, wielebny Casaubon oświadcza jej swe uczucia, i przyjęty zostaje z wielkim oburzeniem i zgrozą wuja Broock, Celji i biednego sir James'a. Ten ostatni wszakże, przebolewszy doznany zawód, zamiast truć sobie życie rozpaczą, poświęca je Celji, która przyjmuje chętnie jego ofiarę. Dorota zaś w dalszym ciągu admiracji dla przyszłego małżonka, uczy się od niego po grecku w krótkich chwilach oddzielających zaręczyny

od ślubu, po którym oboje do Włoch wyjeżdżają.

Tu następuje jakby przerwa w powieści, gdyż autor zostawiając na stronie państwa Casaubon, przenosi swe opowiadanie do innych mieszkańców Middlemarch. Jako bohater, występuje w tej drugiej części młody doktor Lydgate, przybyły niedawno do miasteczka. Podobnie jak Dorota nie pragnie on samolubnie szczęścia jedynie dla siebie, lecz chce przedewszystkiem nieść pomoc i ulgę drugim. Głównym celem i założeniem jego jest uzdrawiać chorych, i posuwać naukę na drodze doświadczeń. Rozczarowany w pierwszej młodości, pokochawszy osobę która nie była godną podobnego uczucia, uważa całą pleć niewieściami w ogólności, za niezdolną do wyższych przeznaczeń. Z początku pociąga go piękność Doroty, ale wkrótce przekonany się, że ona nie odpowiada wcale ideałowi kobiety jaki sobie obecnie utworzył. Wedle jego rozumienia, powinna to być jakaś lekka i powiewna istota, przeznaczona jedynie do uprzyjemnienia życia mężczyzny, coś nakształt kwiatka lub różnobarwnego motylka... Miss Rozamunda Vince czyni na nim podobne wrażenie. Jest to jasnooka blondynka bardzo wdzięcznej urody, równie zalotna jak piękna, lecz prócz tego nie posiadająca żadnych innych przymiotów. Brat jej Fred wraz z narzeczoną swą Mary Garth i resztą dalszej i bliższej rodziny, przedstawia typy prowincjonalne, w scenach pełnych prawdy i życia. Poruszają się tu w żywych obrazach rozmaite czyste lokalne kwestye, jako to: głosowania, rady administracyjnej, i rywalizacji na wyborach. W końcu występują plotki małomiasteczkowe, które siecią swą otaczają Lydgate'a, jakkolwiek się im obronić pragnie. Są to ciekawe szkice obyczajowe, którym zarzucić można jedynie zbytnią ilość wyprowadzonych na scenę osób, wiernie wprawdzie odfotografowanych z życia, lecz nie mających żadnego związku z główną akcją powieści. Podczas gdy obywatele Middlemarch występują z kolei w różnych rolach i postaciach przed oczyma znużonego już trochę ich licznym zebraniem czytelnika, małżonkowie Casaubon zajęehali do Rzymu, gdzie ich znajdujemy w pierwszych dniach po ślubie smutnych i rozczarowanych. Dorota chcąc wytrwać do ostatka w roli poświęcenia jaką przyjęła, obwinia się o małoduszność w obec wielkiego człowieka, którego życie i znakomita działalność podzielić pragnie. Casaubon zaś ze swej strony o ile może oddala ją od siebie, gdy tylko spostrzeże, że bliżej chce się zapoznać przedmiotem jego pracy. Czując że praca ta nie wytrzyma krytycznego poglądu, pełen drażliwej miłości własnej, upokorzonej już kilka razy na tym punkcie, lęka się bliższego rozpatrzenia żony w swych poszukiwaniach *mitologicznego klucza*. Pewną razą gdy odepchnął prawie, niedyskretnie może, lecz w dobrej intencji ofiarowaną sobie pomoc, zasmucona Dorota poszła, w towarzystwie panny służebnej zwiedzać galerje Watykańskie, i spotkała tam krewnego jego Willa, młodego malarza przybyłego do Rzymu dla dalszego kształcenia się w swej sztuce. Will, który zapewne opierając się na racyi francuzkiego przysłowia: *Il y a toujours quelque chose dans le caractère du bienfaiteur, qui excuse l'ingratitude de l'obligé*, nie mógł się przywiązać do pana Casaubon, pomimo że ten był jego opiekunem i że mu dotychczasowy los zawdzięczał, nie czuł również najmniejszej sympatyi dla jego żony. Nawet piękność jej nie wywarła na nim wrażenia, z przyczyny, że w młodej osobie, która wybrała za męża wielebnego Casaubona, nie spodziewał się znaleźć żadnych idealnych przymiotów. Zmienił wszakże zdanie po pierwszej z nią rozmowie w Rzymie, gdzie Dorota ukazała mu się w innym świetle, otoczona jakimś smętym urokiem. Pan Casaubon sam wyprawił w podróż Willa, lecz nie spodziewał się spotkać go na swej drodze, był zatem wielce nie rad jego przybyciu, Do-

rota zaś przeciwnie, ucieszyła się z niespodziewanego towarzystwa, które rozerwać miało jej samotność. Po bliższem poznaniu, gdyż w Anglii widział ją zaledwie przez chwilę, Will zdziwiony, a nawet rozrzucony został, prostotą i wdziękiem młodej kobiety. Głęboki ukrywany starannie smutek, czynił ją więcej jeszcze powabną; to też gniewało go opuszczenie, w jakim męż ją pozostawiał, zwiedzając oddzielnie skarby rzymskich zbiorów; cieszył się wszakże z drugiej strony, że może rozmawiać z nią bez niemiłego świadka, o wrażeniach doznanych w stolicy arcydzieł sztuki i wielkich pamiątek.

— Zdaje mi się że wyobrażenia pani o życiu i świecie są zupełnie fałszywe, rzekł jedną razą czyniąc zwrot do niej samej, że pani chcesz ciągle ponosić jakieś dobrowolne męczeństwo...

— Mylisz się pan, nie jestem nigdy długo smutną, bywam czasem gwałtownie strapioną, ale to prędko przemija. Muszą wierzyć na ślepo we wszystko co wzniosłe; inaczej życie byłoby zbyt ciężkie dla mnie. Widzę wszakże jak trudno jest zrobić coś dobrego na świecie. Myślałam nieraz od czasu jak zwiedzam tutejsze zbiory sztuki, że nie jedno życie ludzkie gorzej się przedstawia, aniżeli najbrzydsze malowało.

— Jesteś pani za młoda na podobne uwagi, są one anachronizmem w jej wieku. Byłaś wychowaną w fałszywych wyobrażeniach, które częstokroć opanowują najdoskonalsze istoty aby je niejako żywcem pogrzebać... a teraz zamkniesz się jak w grobie w tem więzieniu w Lowick... Wolałbym raczej nie poznać pani jak widzieć przed nią podobną przyszłość...

Dorota przyjmuje z wdzięcznością objawy szczerzego współczucia młodzieńca. Niepodobna aby obok nieprzyjemnej powierzchowności pana Casaubon, nie czyniła na niej miłego wrażenia jego szlachetna postać, ale pomimo to, uczucie jakie w niej obudza, ma cechę jedynie braterskiej przychylności. Ze swej strony Will ani jednym wyrazem nie zdradza swego uwielbienia dla niej. Poczucie honoru i poszanowanie obowiązku, zawsze zamyka mu usta. Mimo to wszystko, pan Casaubon, czyniąc w myśli porównanie pomiędzy sobą a Willem, czuje się szarpany zazdrością. Chory i zmęczony coraz więcej, powraca wreszcie z żoną do Anglii, gdzie zamyka się wraz z nią w Lowick. Jedynem wtedy zajęciem Doroty jest przepisywanie łacińskich rękopismów męża, dla których straciła wiele z dawnego poszanowania, a jedyną rozrywką myśli, wspomnienie młodego przyjaciela. Nieraz przepędza długie godziny w gabinecie, gdzie zawieszony portret babki Willa, dziwnie do niego podobnej. Zdaje się że pomiędzy młodą kobietą, a tym wizerunkiem, zawiązał się jakiś tajemny stosunek; Dorota w chwilach smutku wypowiada przed nim głośno wszystkie swe myśli i uczucia...

Samotność obojga małżonków przerwana zostaje listem, w którym Will zapowiada bliski powrót do Anglii, gdzie zamierza już sam na siebie pracować, a następnie obiecuje przybyć do domu opiekuna. Dorota uradowała się nadzieją że monotoność długich jej dni wieczorów ożywi się nieco przyjazdem młodego gościa, lecz ukontentowanie to krótko trwało, bo mąż jej odpisał mu natychmiast, że będąc chorym, postanowił nie przyjmować żadnych odwiedzin w Lowick.

Jednocześnie prawie, skutkiem dawno rozwiniętej choroby, pan Casaubon tknięty zostaje apopleksją. Dorota zapominając wtedy przykrości jakich od niego doznała, pielęgnuje go z największem poświęceniem. Dnie i noce spędza przy nim, nie odbierając nawet najbliższej oznaki wdzięczności za swe trudy. Wiedząc że dni jego policzone, wielebny Casaubon gęrczo-ny obawą śmierci, zarówno jak żalem i goręczą, że w życiu swem nie znalazł ani szczęścia, ani sławy, o której marzył, traci wiarę w prawdy



chrześcijańskie, i odwraca się z niechęcią od wszystkich, co go otaczają.

Pewnej nocy wszakże, gdy Dorota czuwa przy nim jak zwykle, żąda od niej przyrzeczenia, że spełni po jego śmierci, to, o co ją prosić będzie obecnie. Biedna młoda kobieta, sądząc że poleci jej zebranie i wydanie staranne swych prac: o *kluczu mitologicznym*, przerażona że zmuszoną zostanie zająć się przedmiotem, który coraz większy w niej wstręt obudza, prosi go o kilka chwil namysłu. Nazajutrz wszakże, gdy rozważywszy że obowiązkiem jej było spełnić życzenie męża, chciała podjąć się tego, poświęcenie jej okazało się daremne, bo pan Casaubon już nie żył.

Dorota jest w rozpacz, że nie uczyniła zażość ostatniemu życzeniu umierającego; lzy jej przestają dopiero płynąć po otwarciu testamentu. Wyczytuje tam bowiem krzywdzące dla siebie podejrzenie, w zastrzeżeniu, że traci wszelkie prawa do spadku po mężu, w razie gdyby zaślubiła krewnego jego Willa. Nigdy myśl podobna nie powstała w jej duszy, bolesnym więc jest dla niej niewymownie niesłuszny sąd o jej czysto braterskim stosunku do młodego człowieka. Oburza on również wszystkich jej przyjaciół i krewnych, a mianowicie męża Celji, zacnego sir James'a, który zachował dla siostry żony pewny rodzaj czci rycerskiej. Sir James nie przypuszcza nigdy aby Dorota mogła zawinąć nawet myślą, aby wszakże nie narażać na obmowy dobrej jej sławy, wymaga aby pan Brook, wuj Doroty, oddalił od siebie Willa, pomimo że wiele straci odbierając mu redakcję liberalnego dziennika, którym nader zdolnie kierował. Dorota tymczasem, pobudzona do tego przykrem i niesłusznym podejrzeniem, po raz pierwszy rozważać poczyna charakter swej przyjaźni dla młodego artysty, i znajduje z przestrachem, że serce jej za nado może żywo uderza na jego wspomnienie. Z niemłym uczuciem dowiadyuje się nawet, że Will bywa teraz często u doktora Lydgate, już bardzo nieukontentowanego z małżeństwa swego z Rozamundą, która podobno chętnie gromadzi koło siebie licznych wielbicieli swych wdzięków. Czy Will należy do nich, odgadnąć trudno, ale dość że są wszelkie po temu pozory.

Rozamunda jest nader pospolitym typem kobiet, w jakich niekiedy intelligentni nawet ludzie, w naiwnej prostocie swojej, widzą prawdziwe cechy *kobiecości*, której lekają się aby nie starło wyższe ukształcenie. Kobiecość tego rodzaju występuje tu w całej swej prawdziwie. Rozamunda nie jest nudną pedantką, nie zajmują ją żadne kwestye socjalne ani naukowe; jeżeli mąż siedzi pochylony nad badaniem mikroskopijnym, wyrzuca mu ze łzami, że nad jej towarzystwo przekłada tak szkaradne rzeczy. Natomiast lubi taniec, wszelkie rozrywki i zabawy oraz młodych ludzi wielbiących jej urodę. Will podoba się jej bardzo i radaby go przykuć do swego tryumfalnego wozu, lecz on opiera się temu, myśląc jedynie o Dorocie, od której wszakże strony, nie chcąc okazać swych uczuć dla niej. Po niejakiem czasie, zdaje mu się nawet, że lepiej będzie jeżeli na zawsze opuści te strony, i zawiadamia o tém Dorotę, chcąc ją pożegnać po raz ostatni.

— Sądziłam że pożegnaliśmy się już, gdy przed kilku tygodniami byłeś pan w Lowick, rzekła witając go, nieco zmieszana temi niespodziewanymi odwiedzinami.

— Tak jest, ale wtedy nie zastanowiłem się dostatecznie nad wielu okolicznościami, które obecnie zmieniły myśli moje... wtedy sądziłem jeszcze że powrócę tu kiedyś...

— A teraz pan chcesz mi wyznać przyczyny zmuszające go do odjazdu na czas dłuższy?

— Tak, odparł Will gwałtownie, lecz nie mogę pani wyznać wszystkiego. Popadłem w podejrzenie niegodne, zostałem spotwarzony tém podejrzeniem... Pragnę aby pani wiedziała że nie poważyłbym się nigdy... Że nie potrze-

bnie przed życzeniami memi kładziono podobną zaporę, gdyż samo przypuszczenie, iż posądzonym być mogę o interes materialny, już dostatecznym byłoby, aby mnie oddalić nazawsze od ich celu.

Dorota cierpiała, bo zrozumiała że Will ma na myśli niesłuszność podejrzeń jej męża, a powiedzieć mu nie śmiała że sama nie byłaby zdolną posądzić go o wyrachowanie, nawet gdyby wszyscy byli przeciw niemu.

— Bardzo to niedobrze rzekła wreszcie, że pan możesz przypuszczać abym ja źle o nim sądziła....

Nastała znów chwila przykrego milezienia, bo i cóż powiedzieć mogli sobie? On zamilczeć musiał o miłości, którą starał się pokonać, ona zaś z powodu nieszczęśliwej okoliczności testamentu, nie miała prawa ofiarować mu żadnej pomocy, ani też okazać jawnie dawnej życzliwości i współczucia.

— Cóż pan przedsięwziąć zamysłasz, rzekła wreszcie, czy masz jakie zamiary na przyszłość?

— Tak—będę pracował gdzie się zdarzy. Muszę przyzwyczaić się do pracy bez nadziei szczęścia w życiu.

— Ach! jakież to smutne wyrazy, rzekła Dorota zmuszając się do uśmiechu, aby powstrzymać usposobienie do płaczu.

— Człowiek raz tylko w życiu doznawać może pewnych wrażeń, rzekł Will poważnie. Później czuje już tylko, że przeminęły dla niego na zawsze najlepsze chwile. Przeszedłem bardzo wczesnie to smutne doświadczenie. Straciłem przedmiot najdroższych marzeń moich. Nie mogę już myśleć o szczęściu, nie tylko z przyczyny że zbyt trudno go osiągnąć, lecz że starać się o nie, wzbrania mi poczucie własnej godności. Obecnie żyć muszę jak człowiek, przed którego wzrokiem zasłonięto niebo dostrzeżone w chwili zachwyty....

Tu Will umilkł nagle, spostrzegając że mówi o miłości, którą postanowił ukryć w głębi serca. Dorota zmieszała się trochę, ale za chwilę później osądziła że słowa te do niej stosować się nie mogą. Przyszło jej też na myśl i to wszystko co słyszała o zajęciu się Willa panią Lydgate. Mniemając więc że mówi o Rozamundzie, skoro dodał jeszcze że za kilka dni opuszcza Middlemarch, podała mu tylko rękę rzekłszy: Dobrze pan uczynisz. Prosiła go następnie aby zachował o niej przyjazne wspomnienie i wierzył że zawsze pozostanie mu życzliwą. Po odjeździe Willa rozważała znowu całe jego postępowanie i pomyślała że on może chciał wyrazić uczucia swe dla niej... że może był jej przychylniejszym niż komu innemu. Myśl ta nie była jej wcale wstrętną, i owszem napełniała ją jakąś słodką radością. Radość ta wszakże nie długo trwać miała, bo wkrótce potem zesłała niespodziewanie Willa rozmawiającego z wielkim zapałem z panią Lydgate, słuchającą go z widocznym rozrzwienieniem. Oburzona i boleśnie dotknięta Dorota, odwróciła się od młodej kobiety, po chwili jednak wspomniawszy że ta potrzebuje pewno dobrej rady, i że p. Lydgate, któremu niedawno ważną oddała przysługę, był jej przyjacielem, pospieszyła przestrzedz ją z miłością, aby nie zapominała o drodze obowiązku. Rozamunda zwyciężona szlachetnością rywalki wyznaje wtedy że Will, chcąc jej okazać że rachować nie powinna na jego przywiązanie, w tej chwili właśnie powierzał jej swą miłość dla Doroty.

Nie trudno odgadnąć potem zakończenia powieści; Dorota tem więcej czuje swe szczęście że nigdy nie marzyła o niem. Pod wpływem doznanego obecnie wrażenia, odsuwając na stronę wszelkie krepujące ją wpiery wzdględy, oraz niechęć ku temu związkowi całej rodziny, sama ofiaruje swą rękę Willowi. Porzuca następnie na zawsze dawne filantropijne zamiary, które teraz ziścić by mogła, i czuje się szczę-

śliwą jedynem, rzeczywistym szczęściem, za jakim wedle mniemania George Eliot, ubiegać się warto na świecie: osobistą pomyślnością. Obok Doroty i doktora Lydgate tak niefortunnie goniących za ideałem, na poparcie twierdzeń swoich że szukać go nie warto i nie należy, stawia autor przed oczy czytelnika pożyte małżeńskie Freda i Mary Garth. Szczęście ich realne, bez uniesień i bez zapału, rozwija się spokojnie i cicho w obec zwicniętych przeznaczeń ludzi do wyższych zmierzających celów, jako jeden dowód więcej, na potępienie podobnych dążeń.

Pogląd ten realistyczny, dalekim jest od prawdy, niepodobna bowiem zarówno zaprzeczyć istnienia idealnej strony w naturze ludzkiej, jak chcieć ją zniweczyć. Brak ideału w postaciach z powieści George Eliot, czyni je częstokroć nienaturalnymi pomimo wysokiego talentu autora; bo prawda zależy właśnie na umiejętnym połączeniu obu pierwiastków w każdym charakterze, to jest idealnej strony ducha z wymaganiami rzeczywistego życia. Jest w życiu każdego śmiertelnika, mówi jeden ze znakomitych pisarzy naszych, tajemna konieczność zmuszająca go aby spróbował życia zewnętrznego, pokusił się o dopełnienie celu stworzenia, to jest o pogodzenie idei swej ze światem, ducha z materją, pieśni z czynem. W tej ciężkiej próbie, w tej trudnej do rozwiązania zagadce, po większej części ludzie nie umieją sobie dać rady. Jedni przechylają się na stronę materji, drudzy po szalonym bieżą po stronie niewidomych myśli, a ten tylko wielki, piękny i dzielny, kto potrafi oba te światy sprzeczne z sobą pogodzić, i tak umiarkować, by się ich kręgi w każdej chwili z nim spajały.

## Od Redakcyi Kroniki.

Ks. M. K. w *Staro-Konstantynowie*. Dziękujemy za przesyłkę — 6 numer posłany. Kartka Ks. H. oddana do Redakcyi Przeglądu Katolickiego.

Pani Adeli Roż... w *Kijowie*. 6 Numer posłany.

Pani K. P. w *Majdanie Sachniańskim*. Dawne lata posłane.

Panu J. Bo... w *Wielkiej Raczy*. Redakcyi Opiekuna zawiadomiona o odezwie Pana.

Pani A. D. w *Krzywęż-Woli*. Prenumerata półroczna wynosi rs 2 kop. 50.

Ks. J. H. w *Janowie Podolskim*. Przepraszamy jak najmocniej za omyłką w adresie, która już poprawiona została, a skutkiem której Kronika niedochodziła akuratnie.

P. August. Komo... w *Podbierzu*. Rs. sto odebrane i doręczone komu należy.

P. Wandzie Komo... w *Poniemoniu*. Z pozostających u nas trzech rubli wydano wedle polecenia: Na prenumeratę czwartego kwartału r. b. Kroniki rs. 1 kop. 25. na przedpłatę wraz z przesyłką pocztową dzieła Kamińskiego pod tytułem: *Kobieta* rs. 1 kop. 35. Pozostałe zaś kop. 40 oddano do *Bióra nędzy wyjątkowej*. Nr. 8 zeszłorocznej Kroniki posłała się gratis.

Pani Karolinie Biel... w *Zieleńcu*. Żądana *Jeografia dla dzieci* posłana została przez księgarnię Gebethnera.

Pani Fl... w *Kamińcu Podolskim*. Otrzymałszy 3 rs. na prenumeratę i wszystkie N-ra wysyłają się w czasie właściwym.

Ks. Julianowi K. w *Solecznikach*. Prenumerata roczna wynosi 5 rs.

Pani Maryi Z... w *Opolu Podlaskim*. Dziękujemy najszczerzej za przychylne życzenia i rady.

Panu Wacławowi G... w *Braże*. Prenumerata roczna w ilości 5 rs. odebrana. Nra zaległe wysłane.

Panu Kaź. Kr. w *Warszawie*. Prosimy o bliższe porozumienie.

Panu W. D. w *Warszawie*. Dziękujemy za list pełen trafnych uwag; porozumienie się bliższe byłoby pod wszelkim względem pożądane.